

Stuknęło nam zgiat!

ŻYCIE

NR 50 GOSPODARCZE

14 GRUDNIA 1980 R.

ROK XXXV

CENA 6 ZŁ

CZY JESTEŚMY SKAZANI NA ZADŁUŻENIE

Nasze zadłużenie przybrało niepokojące rozmiary. Całkowite zadłużenie na koniec roku wyniesie ok. 23,5 mld dolarów. Koszty obsługi długu będą coraz większym ciężarem dla naszej gospodarki. Czy jesteśmy skazani na dalsze zadłużanie się? Czy istnieją metody odroczenia spłaty kredytów? Na te i związane z nimi pytania próbowaliśmy odpowiedzieć w redakcyjnej dyskusji, w której uczestniczyli: STANISŁAW DŁUGOSZ – zastępca przewodniczącego Komisji Planowania, ZBIGNIEW KARCY – dyrektor Departamentu Zagranicznego Ministerstwa Finansów, MARIAN KRZAK – minister finansów, prof. MARIAN OSTROWSKI – dyrektor Instytutu Gospodarki Światowej, prof. STANISŁAW RĄCZKOWSKI z SGPiS i doc. dr WIESŁAW RYDYGIER z Instytutu Finansów. Dyskusję prowadził red. naczelny „Życia Gospodarczego” JAN GŁÓWCZYK.

JAN GŁÓWCZYK: — Znajdujemy się dziś w sytuacji, gdy dalsze zadłużenie jest nam z punktu widzenia równowagi wewnętrznej, nie tylko gospodarczej ale i politycznej, bardzo potrzebne. Z drugiej strony panuje dość zgodne przekonanie, że przekroczyliśmy pewien próg zadłużenia, że jest ono nadmierne.

Na początku lat siedemdziesiątych mocno eksponowano tezę, że duży import na kredyt nowoczesnej techniki i technologii pchnie nas do przodu, stanie się zalążkiem ekspansji produkcyjnej i eksportowej. Nie byłem entuzjastą tej tezy, ale zastanawiam się, czy mimo potężnego zadłużenia nie powinniśmy, jeśli możemy, właśnie teraz sięgnąć po import jako czynnik ruszający gospodarkę z martwego punktu?

STANISŁAW DŁUGOSZ: — Spójrzmy na uwarunkowania, w jakich przyszło nam działać w najbliższym czasie, myślę tu o nadchodzącym roku, czy dwóch, nie podjąłbym się wybiegania poza ten horyzont, zbyt wiele jest niewiadomych. Cała gospodarka jest mocno rozregulowana a najwyraźniej widać:

— dużą skłonność do wzrostu konsumpcji indywidualnej i zbiorowej, spowodowaną przez rozwiązania socjalno-płacowe ostatnich miesięcy, — brak, zarówno w społeczeństwie, jak wśród części tzw. decydentów, zrozumienia dla konieczności zdyscyplinowania procesu inwestycyjnego; wszelkie działania tego typu dopóty znajdują poparcie, dopóki dotyczą sąsiada,

— utrzymujemy się nadal nastawienie proimportowe, tak jakby stan bilansu płatniczego mógł na to pozwalać,

— traktowanie eksportu, poza nielicznymi wyjątkami w najlepszym przypadku, jako zła konieczność.

Na to nałożyła się jeszcze katastrofa żywiołowa w rolnictwie, która, miejmy nadzieję, w przyszłym roku się nie powtórzy oraz spadek produkcji materialnej wielu towarów, będących przedmiotem naszego eksportu. Tymczasem postulatem, żeby więcej importować, bo przecież tylu potrzebnych dóbr brakuje, towarzyszy postulat aby mniej eksportować, z tych samych powodów, choćby po to, aby nie zubożyć rynku. A najlepiej byłoby, gdyby jeszcze przy okazji spłacać długi. W społecznej świadomości nie ma wciąż zrozumienia dla pewnych nieuchronnych współzależności. Jeśli można mieć o to pretensje to nie do przeciętnego obywatela, lecz raczej do nas, którzy wszyscy w jakimś sensie odpowiadamy za edukację ekonomiczną społeczeństwa. Pewnym usprawiedliwieniem może być fakt, że sprawy bilansu płatniczego były do niedawna tematem tabu. Natomiast pytanie, czy możemy się dalej zadłużać, wymaga odpowiedzi nie tylko na pytanie, czy chcemy się dalej zadłużać, ale i czy znajdując się ci, którzy zechcą nam nadal pożyczać, ile i za ile.

WIESŁAW RYDYGIER: — W bieżącym roku obsługa długu, a więc spłata rat i odsetek pochłonie całe wpływy z eksportu towarowego do krajów kapitalistycznych. W roku przyszłym nie tylko dalszy wzrost importu lecz również utrzymanie go na dotychczasowym poziomie zależy więc przede wszystkim od tego, jakie uda się nam osiągnąć tempo wzrostu eksportu. A zwiększenie tego tempa nie będzie sprawą łatwą.

Kredyty zaciągnięte w latach siedemdziesiątych nie przyczyniły się

do zwiększenia zdolności eksportowej gospodarki. Podstawowa część tych kredytów została wykorzystana na import zapasów i zapasów, a importochłonność bieżącej produkcji bardzo silnie wzrosła. To właśnie są główne przyczyny zarówno konieczności ograniczenia importu, jak również tego, że ograniczenia te mają tak negatywny wpływ na możliwości wzrostu produkcji. Co więcej, cięcia importowe uderzają przede wszystkim w eksport, bo produkcja eksportowa jest obecnie bardziej importochłonna niż cała produkcja. Choć skutki wydarzeń sierpniowych i następnych miesięcy są dla bilansu płatniczego bardzo bolesne, bo dotyczą tak ważnych pozycji w naszym eksporcie jak choćby węgiel, miedź czy srebro, to i bez nich sytuacja płatnicza nie wyglądałaby różowo, i trudno byłoby pokryć zapotrzebowanie surowcowo-materiałowe przemysłu.

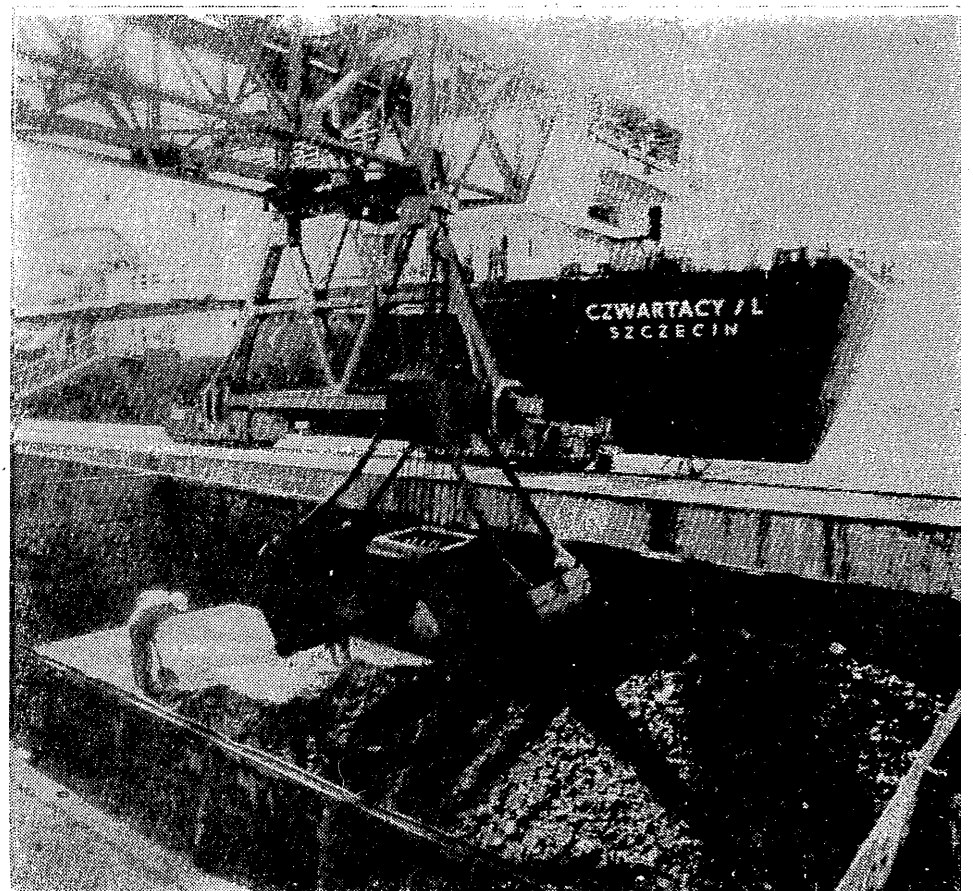
Trzeba przy tym pamiętać, że jeśli wynikające stąd niepełne wykorzystanie zdolności produkcyjnych utrzymać się będzie przez kilka lat grozi to zaprzepaszczeniem efektów modernizacyjnych inwestycji dokonanych w latach siedemdziesiątych, choć w stosunku do poniesionych nakładów są one bardzo mierne. Dlatego uważam, że możliwe szybkie wychodzenie z obecnego kryzysu, nawet jeśli uwzględnić, że w krótkim okresie będzie to wymagało większego „zaciśnięcia pasa”, jest w ostatecznym rachunku znacznie korzystniejsze. Trzeba to jasno powiedzieć i starać się o społeczną aprobatę dla tego wariantu wyjścia z obecnego kryzysu. Bo za parę lat inwestycje te będą przestarzałe (moralnie zużyte).

J. GŁÓWCZYK: — Zakładając jednak, że poniesiemy dodatkowe straty, w stosunku do już poniesionych, czy ograniczenie inwestycji może ulżyć naszym trudnościom płatniczym?

W. RYDYGIER: — Niewątpliwie tak. Cięcia inwestycyjne zwalniają pewną ilość środków w imporcie. Zwalniają również środki zaopatrzeniowe z produkcji krajowej oraz ograniczają zapotrzebowanie na energię nie tylko bezpośrednio, lecz również pośrednio (przemysł hutniczy i cementowy należą bowiem do grupy największych pożeraczy energii). Jeśli jednak decyzje te nie są podejmowane szybko, import dla tych obiektów będzie nadal, a i w kraju nadal się dla nich produkuje.

MARIAN OSTROWSKI: — Moim zdaniem jedynym ograniczeniem wzrostu naszego zadłużenia w najbliższej przyszłości będzie możliwość uzyskania kredytów. W krótkim okresie gospodarka będzie miała lub wręcz niesterowana. Będziemy ulegać presji na inwestycje, na im-

DOKOŃCZENIE NA STR. 8-9



Co dalej z eksportem węgla? (artykuł na str. 9)

Fot. S. ZUBCZEWSKI

FILOZOFIA CZY CHYTROŚĆ?

ANNA KUSZKO

Utrzymuje się napięcie wokół spraw placowych. Absorbują one administrację i związki zawodowe. Zwiększa się kwota średniej podwyżki zarobków, podczas gdy wciąż jeszcze cierpliwie czekają na zapowiedzianą od stycznia przyszłego roku 500-złotową rekompensatę ludzi, żyjący przez wiele lat z 2-tysięcznej, a często jeszcze niższej emerytury i renty.

dojmującej wymowy tego faktu — niezawinionego, oczywiście, przez pracowników, domagających się innego podziału przysługujących im środków — nie jest w stanie usprawiedliwić.

Jestem głęboko przekonana, że w każdym środowisku pracowniczym sporo ludzi zrezygnowałoby ze swojej rekompensaty na rzecz szybszego podwyższenia rent i emerytur starczego portfela. To odczucie, oparte jest zresztą na oświadczeniach, składanych nie tylko w prywatnych rozmowach, lecz także oficjalnie tym, którzy dzielili w zakładach i instytucjach przysługujące środki. Padała wówczas, na ogół odpowiedź, że podwyżka o jedną stawkę zasługowania jest obowiązkiem, wynika z zawartego porozumienia i nie można się jej zrzec.

Dlaczego? Dlatego daliśmy się wszyscy zepchnąć w ślepy zaułek targów placowych?

Ślepy nie ze względu na sytuację ekonomiczną naszego kraju, na czę-

sto podkreślany coraz większy rozdział między sumą pieniędzy i masą towarową na rynku, zwłaszcza na rynku żywnościowym, na który te pieniądze przecież w większości płyną. Nie o to mi teraz chodzi.

Ślepy przede wszystkim ze względów społecznych. Nie przybliżający nas, lecz niekiedy oddalający od celu zasadniczego: ochrony — w kryzysowej sytuacji — budżetów ludzi gorzej sytuowanych!

Gółym okiem przecież widać, bez specjalnych analiz, że dysproporcje, i to te najtrudniejsze do usunięcia: między poziomem płac a poziomem świadczeń ubezpieczeniowych, które mają dominujący wpływ na warunki życia sporych grup naszego społeczeństwa, na razie coraz bardziej się pogłębiają. Stwarza to wyższe zapory na drodze do zasadniczej reformy systemu emerytalnego i systemu zasiłków rodzinnych, bez czego nie unik-

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

W SPRAWIE DORAŻNEGO PROGRAMU

OSKAR LANGE

„Życie
Gospodarcze”
lipiec 1956

W okresie Planu Sześcioletniego dokonano się gruntowna przebudowa struktury społeczno-gospodarczej Polski, nastąpiła ogromna rozbudowa sił wytwórczych naszego kraju. Zbudowaliśmy potężny przemysł, zwłaszcza ciężki, przełamaliśmy wiekowe dziedzictwo zacofania gospodarczego i społecznego. Polska przekształciła się w kraj o pokazywnym poziomie produkcji przemysłowej, o szybko rosnących siłach wytwórczych, w kraj, który zajmuje dzisiaj poważne miejsce w gospodarce i polityce międzynarodowej. Socjalistyczna własność środków produkcji stanowi dzisiaj nieodwracalnie podstawę naszej gospodarki narodowej i jej dynamiki rozwojowej. Kształtuje się baza ekonomiczna socjalistycznego społeczeństwa.*

W toku tych rewolucyjnych przeobrażeń społeczno-gospodarczych powstały jednak poważne dysproporcje, które utrudniają dalszy rozwój gospodarki narodowej. Dysproporcje te są powszechnie znane: dysproporcja między rozwojem rolnictwa a rozwojem przemysłu, dysproporcja między zdolnością produkcyjną przemysłu a zapotrzebowaniem materiałowym, dysproporcja między ilościowym rozwojem produkcji przemysłowej a jej jakością i kosztami własnymi, dysproporcja między programami inwestycyjnymi i produkcyjnymi a przestarzałym stanem technicznym wielu zakładów.

Dysproporcje te dają o sobie znać w postaci wielkich trudności w naszym handlu zagranicznym, w braku rezerw materiałowych powodujących przestoje w produkcji i nie wykorzystanie istniejących mocy produkcyjnych przemysłu, w marnotrawstwie środków trwałych i surowców, w złym i źle funkcjonującym zaopatrzeniu ludności. Na bazie tych dysproporcji wyrosła dysproporcja najważniejsza — dysproporcja między potężnym wzrostem sił wytwórczych a słabym wzrostem stopy życiowej ludności. Spowodowało to niewykonanie Planu Sześcioletniego w dziedzinie podniesienia stopy życiowej ludności, a więc w tej dziedzinie, która stanowi społecznie uzasadnienie budowy socjalizmu.

Nie będę się tutaj zatrzymywał nad przyczynami, które doprowadziły do tych dysproporcji i uniemożliwiły ich szybkie przezwyciężenie. Łączy się to z wysokim napięciem planu inwestycyjnego, z rewolucyjnym charakterem przeobrażeń społecznych i gospodarczych oraz wysoką centralizacją kierownictwa gospodarki narodowej, która w tych warunkach powstała. Gospodarowaliśmy metodami charakterystycznymi dla „gospodarki wojennej”, to jest metodami polegającymi na apelach moralno-politycznych i na nakazach prawno-administracyjnych, na rozmałych środkach przymusu poekonomicznego, a nie na bodźcach ekonomicznych.

Metody te spełniły swoje zadanie jako narzędzia rewolucyjnego przeobrażenia struktury społecznej i gospodarczej kraju. Metody takie jednak nie mogą stanowić trwałego sposobu gospodarowania. Nadużywanie tych metod, a zwłaszcza próba przekształcenia ich w trwały system, błędne utożsamienie socjalizmu z wyjątkowymi metodami okresu przejściowego, spowodowały kumulację narastanie wymienionych wyżej dysproporcji w gospodarce narodowej. Nasilenie tych dysproporcji doszło dzisiaj do takiego stopnia, w którym prowadzi do rozprężenia gospodarki narodowej.

Obiektywne, materialne dysproporcje są źródłem zaburzeń w procesie produkcji, niewykonania planów, niedomagań w dziedzinie dystrybucji i zaopatrzenia. Zaburzenia te i niedomaganie oraz brak odpowiednich bodźców ekonomicznych, a w szczególności niewykonanie Planu Sześcioletniego w dziedzinie podniesienia stopy życiowej, wywołały w szerokich masach zniechęcenie i obojętność.

Od szeregu lat już obserwujemy wzrastającą obojętność w stosunku do pracy w aparacie administracyjnym, dystrybucyjnym i usługowym. Obojętność ta paraliżuje nasze życie codzienne. Obecnie widzi się ona także w szeregi klasy robotniczej, która jako najbardziej świadoma społecznie i politycznie część społeczeństwa, najdłużej jej się opierała. Kierowanie za pomocą moralno-politycznych apelów i prawno-administracyjnych nakazów wyczerpało swoje możliwości.

Wyrosła z materialnych, obiektywnych trudności postawa psychiczna pogłębia proces rozprężenia gospodarki narodowej. W dziedzinie przemysłu brakrobótwa i marnotrawstwo stało się poważnym problemem gospodarczym. W początkowej fazie przejawiało się ono w dziedzinie artykułów konsumpcyjnych. Pogorszenie się jakości artykułów konsumpcyjnych stanowiło poważny element przeszkadzający podwyższeniu stopy życiowej, jednak nie hamowało procesu produkcji. Obecnie brakrobótwa zakradła się w dziedzinę wytwarzania maszyn, aparatów, narzędzi, taboru transportowego, mate-

rialów. Grozi to zahamowaniem technicznego przebiegu procesu produkcji oraz rozprężeniem bazy produkcyjnej gospodarki narodowej. Podważa to również podstawy handlu zagranicznego.

W tych warunkach potrzebna jest natychmiastowa akcja w celu powstrzymania i odwrócenia narastającego procesu rozprężenia gospodarki narodowej. W chwili obecnej odbywają się dyskusje i prace w dwóch kierunkach. Jeden, ma na celu zmianę w metodzie zarządzania gospodarką narodową, drugi zajmuje się ustaleniem kierunków rozwoju gospodarki narodowej w nowym Planie Pięcioletnim. Obydwa te kierunki dyskusji i prac są bardzo ważne, nie zastąpią one jednak specjalnych środków potrzebnych dla zahamowania i odwrócenia procesu rozprężenia gospodarki narodowej.

Zmiana metod zarządzania gospodarką narodową jest nieodłączną częścią tych środków. Efekty zmian w metodzie zarządzania gospodarką narodową mogą jednak wystąpić dopiero po dłuższym okresie. Pełne wywołanie tych zmian nie jest możliwe tylko po uprzednim usunięciu narosłych w ostatnich latach dysproporcji gospodarczych, po przezwyciężeniu nihilistycznej postawy psychicznej ogarniającej coraz szersze kręgi społeczeństwa, słowem — po zahamowaniu i odwróceniu postępującego procesu rozprężenia gospodarczego. Plan Pięcioletni ustala proporcje w gospodarce narodowej na dłuższą metę. Główne efekty ustalenia wystąpią dopiero pod koniec okresu realizacji Planu. Gdyby proces rozprężenia gospodarki narodowej posuwał się nadal, wykonanie Planu byłoby wątpliwe. Nastąpiłoby bowiem zahamowanie technicznego przebiegu procesu produkcji, co także odbiłoby się na handlu zagranicznym.

Dlatego obok systematycznego programu zmian metod zarządzania gospodarką narodową, a zwłaszcza stopniowej decentralizacji zarządzania i oparcia zarządzania na wykorzystaniu bodźców ekonomicznych, oraz obok właściwego ustalenia kierunków rozwoju w Planie Pięcioletnim potrzebny jest doraźny program uporządkowania gospodarki narodowej. Forma takiego programu jest obojętna. Może on mieć formę zadań na pierwsze dwa lata Planu Pięcioletniego, albo też formę osobnego dokumentu obejmującego najważniejsze zadania, które muszą być wykonane w ciągu lat 1956 i 1957, a których wykonanie jest warunkiem sukcesu Planu Pięcioletniego, jako całości.

Taki program uporządkowania gospodarki narodowej jest nieodzowny dla uzdrowienia naszych stosunków gospodarczych i społecznych. Jest on także wymogiem politycznym przywrócenia zaufania społeczeństwa, a zwłaszcza klasy robotniczej, do możliwości przezwyciężenia obecnych trudności. Opracowanie takiego programu jest rzeczą pilną, nie cierpiącą dalszej zwłoki. Szczegółowe opracowanie takiego programu wymaga dokładnej analizy naszego życia gospodarczego. Sądzę jednak, że obraz stanu gospodarki narodowej jest w ogólnych zarysach na tyle jasny, że można pokusić się o naszkicowanie ogólnych linii wytycznych takiego programu. Podstawowe zadania programu można by sformułować w sposób następujący.

1 Natychmiastowa mobilizacja istniejących rezerw dla polepszenia zaopatrzenia i podwyższenia stopy życiowej klasy robotniczej. Mobilizacja ta musi objąć wszystkie istniejące w kraju rezerwy towarowe, wykorzystając wszystkie możliwości szybkiego podniesienia stopy życiowej drogą handlu zagranicznego, uruchomić wszystkie możliwości szybkiego zwiększenia produkcji artykułów masowego spożycia. W tej ostatniej dziedzinie trzeba wykorzystać wszystkie dostępne sposoby szybkiego zwiększenia produkcji na bazie istniejącego aparatu produkcyjnego. Trzeba także przełamać szybko działającymi środkami biurokratyczną bezwładność aparatu dystrybucyjnego, która powoduje zahamowanie w zaopatrzeniu ludności nawet tam, gdzie nie mają one uzasadnienia w braku masy towarowej.

2 Zapewnienie warunków trwałego wzrostu produkcji przemysłowej. W celu zapewnienia gładkiego przebiegu produkcji przemysłowej potrzebne jest przezwyciężenie brakrobótwa oraz przywrócenie właściwego stosunku rezerw materiałowych do zadań produkcyjnych zakładów przemysłowych. W celu umożliwienia dalszego wzrostu produkcji przemysłowej potrzebna jest systematyczna obniżka kosztów własnych. Wymaga to realistycznego przystosowania ilościowych zadań produkcyjnych do istniejącego zaopatrzenia materiałowego, położenia głównego nacisku na podniesienie jakości produkcji oraz na obniżenie kosztów własnych. Trzeba zaprzestać pogoni za czysto ilościowymi wskaźnikami osiąganymi

mi kosztem niskiej jakości i przy wysokich kosztach własnych. Prowadzi to bowiem do czysto fikcyjnych rezultatów, zużycia surowców i pracy ludzkiej dla produkowania artykułów nie dających zamierzonego efektu gospodarczego, a często i technicznego (np. maszyn rolniczych, które po kilku tygodniach nie nadają się do użytku).

Natomiast szczególny wysiłek w dziedzinie ilościowego zwiększenia produkcji jest potrzebny w produkcji surowców oraz artykułów eksportowych, za które nabywamy surowce. Jest to potrzebne w celu usunięcia dysproporcji między rezerwami materiałowymi a zadaniami produkcyjnymi przemysłu.

W tym celu przy obniżce kosztów należy zwrócić uwagę przede wszystkim na obniżkę kosztów materiałowych. Ponieważ w chwili obecnej na ogół nie ma braku siły roboczej, a nawet powstają poważne elementy bezrobocia, główny kierunek obniżki kosztów własnych nie powinien zmierzać do zwiększenia wydajności pracy żywej, ale do oszczędności w zużyciu materiałów. Do tego powinien również zmierzać program inwestycyjny, kładąc nacisk na inwestycje zmniejszające zużycie surowców.

W celu skutecznego zapewnienia podniesienia jakości produkcji oraz obniżki kosztów, system wynagrodzenia w przemyśle powinien opierać się przede wszystkim na premiowaniu jakości produkcji oraz obniżki kosztów, zwłaszcza materiałowych. Syntetycznie może to znaleźć wyraz w premiowaniu uzależnionym od rentowności przedsiębiorstwa, a nie od ilościowego wykonania planu.

Myśl pewnego zmniejszenia tempa wzrostu ilościowego produkcji przemysłowej (z wyjątkiem surowców i artykułów eksportowych) nie powinna nas przerażać. Częściowo będzie to tylko usunięciem fikcyjności w wykonywaniu planów produkcji przemysłowej. Ponadto zmniejszenie takie można uważać za „inwestycję w jakość i rezerwy”, która opłaci się w przyszłości w zwiększonym tempie ilościowego wzrostu produkcji.

Odbudowa rezerw surowcowych umożliwi także pełne wykorzystanie istniejących w przemyśle mocy produkcyjnych, których niepełne wykorzystanie jest uważane przez klasę robotniczą i całe społeczeństwo za przejaw marnotrawstwa w przemyśle. Poważne moce produkcyjne oraz wysoko wykwalifikowana kadra techniczna i robotnicza, jak również poważne zapotrzebowanie surowców, są dzisiaj zamrożone w przemyśle zbrojeniowym. Obecna sytuacja międzynarodowa umożliwia, a wewnętrzna sytuacja gospodarcza wymaga konwersji poważnej części tego przemysłu do celów pośrednio lub bezpośrednio służących zaspokojeniu potrzeb ludności.

3 Odbudowa bodźców sprzyjających rozwojowi produkcji rolnej. Zwiększenie produkcji rolnej wymaga zwiększenia zaopatrzenia rolnictwa w środki produkcji, zwłaszcza w nawozy. Zwiększenie produkcji lub importu nawozów stanowi istotny warunek zwiększenia produkcji roślinnej. Decydującym czynnikiem hamującym rozwój produkcji rolnej oraz zwiększenie jej towarowości jest jednak brak dostatecznych bodźców w gospodarce chłopskiej, zarówno indywidualnej jak i zespołowej.

Brak ten jest dwójakiego rodzaju. Z jednej strony w warunkach formowania industrializacji chłop miał trudności w nabywaniu artykułów przemysłowych, zwłaszcza materiałów budowlanych oraz sprzętu potrzebnego dla gospodarstwa rolnego i domowego. Ograniczało to jego zainteresowanie w sprzedaży, a pośrednio także w produkcji. Z drugiej strony chłop indywidualnie unikając zwiększenia produkcji, zwłaszcza bydła, w obawie zwiększenia obciążeń nałożonych przez państwo lub wręcz zaklasyfikowania do kategorii kułaków. Przyczyną tego stanu rzeczy jest wciąż jeszcze nieprzezwyciężony brak praworządności na wsi, uzależnienie rozdziału obciążeń od miejscowych kacyków i kumoterskich klik. Do tego dochodzi fakt, że nasza polityka rolna w dużej mierze posługiwała się środkami poekonomicznego przymusu, a ponadto była sformułowana w sposób tak skomplikowany, że otwierała drogę do dużej samowoli ze strony jej wykonawców w terenie.

W tych warunkach potrzebne jest sformułowanie polityki rolnej w kilku jasnych, niedwuznacznych punktach zrozumiałych dla każdego i nie dających możliwości dowolnej interpretacji. Sformułowanie jej musi być takie, aby uniemożliwiało zwiększenie obciążeń w razie wzbogacenia się chłopów dzięki własnej pracy i zapobiegliwości. Należy także zmniejszać do minimum zakres przymusu poekonomicznego w polityce rolnej, do większego niż dotychczas upieniężnienia gospodarci chłopskiej oraz stworzenia warun-

ków zachęcających chłopów do zwiększenia produkcji towarowej.

W związku z tym należy krytycznie zanalizować naszą politykę w dziedzinie dostaw obowiązkowych. Sytuacja dojrzała do zniesienia obowiązkowych dostaw mleka. Politykę obowiązkowych dostaw żywności, zboża oraz kartofli należy zanalizować pod kątem widzenia jej wpływu na opłacalność gospodarki chłopskiej oraz zlikwidować przerosły, powodujący zaopatrywanie się chłopów w ich własne produkty w mieście.

W celu zwiększenia zainteresowania chłopów w dostarczaniu produktów na rynek jest potrzebne przede wszystkim wydanie zaopatrzenie wsi w materiały budowlane oraz w artykuły przemysłowe dla gospodarstwa wiejskiego. Dla zwiększenia masy materiałów budowlanych przeznaczonych dla wsi nie należy wahać się przed zmniejszeniem budownictwa przemysłowego.

Dla zainteresowania chłopów w sprzedaży produktów rolnych państwo musi ściśle przestrzegać wykonania swoich zobowiązań wynikających z kontraktacji, w szczególności zapewnić zaległe dostawy węgla oraz odpowiednią jakość tych dostaw. Ponadto potrzebne jest systematyczne usuwanie istniejących na wsi bolączek. Między innymi należałoby przeprowadzić w ciągu najbliższych dwóch lat klasyfikację ziemi, której chłopci domagają się usilnie.

Rozwój spółdzielczości produkcyjnej powinien być oparty na umocnieniu istniejących już spółdzielni oraz na stworzeniu silniejszych niż dotychczas bodźców ekonomicznych. W szczególności należy rozpatrzyć politykę obowiązkowych dostaw spółdzielni produkcyjnych w kierunku możliwości ich obniżenia. Ponadto należy zbadać efektywność pomocy udzielanej spółdzielniom przez POM, a w wypadkach większych spółdzielni traktory i maszyny rolnicze należałoby wręcz przekazać na własność lub zarząd spółdzielni. Istotnym warunkiem zwiększenia atrakcyjności spółdzielni jest pełne przestrzeganie — a w wielu wypadkach przywrócenie — ich prawdziwej spółdzielczego charakteru, odbudowa prawdziwego samorządu i stworzenie warunków, w których chłopcy byłby rzeczywiście gospodarzami w spółdzielni.

Obok wymienionych środków polityki ekonomicznej w stosunku do indywidualnych i spółdzielczych gospodarstw chłopskich potrzebne jest uporządkowanie i usprawnienie gospodarki PGR. Podstawą musi tutaj być znacznie silniejsze niż dotychczas powiązanie zainteresowania materialnego pracowników z wynikami gospodarczymi. Wynagrodzenie powinno być uzależnione od rentowności gospodarowania, co wywoła zainteresowanie zarówno w produkcji, jak i w kosztach. Należy także umożliwić robotnikom rolnym udział w zarządzaniu PGR, tak aby czuli się współgospodarzami.

4 Odbudowa i usprawnienie rzemiosła i usług. Rozwój rzemiosła, zarówno produkcyjnego jak i usługowego oraz innych drobnych prywatnych zakładów produkcyjnych umożliwił poważne zwiększenie zaopatrzenia ludności w produkty i w usługi bez wielkiego nakładu inwestycyjnego. Istnieje bowiem wiele ukrytych rezerw, które mogą być wykorzystane przez rzemiosło i inne drobne warsztaty produkcyjne. Wiele takich rezerw może być wykorzystanych w lepszym niż dotychczas stopniu przez terenowy drobny przemysł państwowy i spółdzielczy. Pełne ich wykorzystanie wymaga jednakże inicjatywy osobistej w postaci rzemiosła i chałupnictwa.

Celem umożliwienia wykorzystania takiej inicjatywy trzeba zapewnić odpowiedni przydział lokali i materiałów. Właściwa polityka przydziałów może uzdrowić rzemiosło przez zlikwidowanie tak częstego dzisiaj używania przez rzemiosło materiałów pochodzących z kradzieży z gospodarki państwowej. Istotnym warunkiem rozwoju rzemiosła jest zmiana polityki podatkowej w stosunku do rzemieślników, polityki, która często miała charakter dyskryminacyjny i traktowała rzemiosło indywidualne jako niebezpieczną formę „kapitalizmu”. Należy także usunąć dyskryminacyjną zasadę, udzielania zamówień rzemieślnikom i chałupnikom dopiero po uzyskaniu odmowy ze strony upolsecznionych zakładów. Zasada ta doprowadza do panoszenia się w drobnej produkcji fikcyjnych, często wręcz pasywnych spółdzielni i do zblurowatyzowania drobnej produkcji usług. Należy także ustalić zasadę, że większe nieco prywatne zakłady produkcyjne i usługowe, na przykład zatrudniające do 7 pracowników najemnych, a w produkcji eksportowej nawet i więcej, są traktowane na równi z rzemiosłem.

5 Usprawnienie dystrybucji. W celu odbiurokratyzowania aparatu dystrybucyjnego potrzebna jest dalsza jego decentralizacja oraz bezpośrednio powiązanie jednostek dystrybucyjnych z producentami. Wynagrodzenie w aparacie dystrybucyjnym należy uzależnić od umiejętności zaopatrzenia rynku. Stworzyłoby to warunki, o których jednostkom dystrybucyjnym opłaca się aktywny wysiłek w poszukiwaniu towarów dla nabywców, przy czym bezpośrednie powiązanie z producentami umożliwiłoby poszukiwanie ukrytych zapasów towarowych oraz zachęcając jednostek produkcyjnych do produkowania asortymentów żądanych przez jednostki dystrybucyjne dla swoich nabywców. W szczególności należy umożliwić poszczegól-

DOKONCZENIE NA STR. 4

JUBILEUSZ

WŁASNIE miało 35 lat od chwili, kiedy ukazał się pierwszy numer „Życia Gospodarczego”, a nikt z nas w redakcji nie wpadł na pomysł, że można było tego nie uczcić — dorobek naszej gazety idzie już w dziesiątki, nawet setki kilogramów (35 roczników, 6—7 kg każdy).

Obchody zaczęliśmy zwyczajnie — zwykłym zebraniem, które musieliśmy przekołać.

Propozycja redaktora S., byśmy przedyskutowali swoje poczynania, a następnie sumę myśli ogłosili drukiem, upadła. Z dwóch powodów. Po pierwsze — nie ma żadnej gwarancji, argumentowano, że kogokolwiek z naszych Czytelników bardziej obchodzi, co tkwi w sercu na dzień, niż co na łamach. Po drugie — uciekając się do przenośni — fotografia zbiorowa już dawno w druku, retusz mogłby się okazać, jak to się mówi obecnie — niewiarygodny.

Kolejna propozycja, redaktora L., była taka, żeby wybrać fragmenty rozmaitych tekstów, które kiedyś ukazywały się w gazecie, i zestawzić je tak, by coś z tego wynikało.

Pomysł stał się zaczynem dyskusji. Zgłoszona jako pierwsza wątpliwość, czy realizacja nie wymagałaby mozolnego wertowania starych roczników, była zapewne szczera. Może nawet za dużo, a szczerść przy okazji jubileuszu nie powinna być przesadna. Szczegółowe przekonaliśmy samych siebie, że nie idzie o lek przed nadmiernym wysiłkiem, za istotną uznając inną wątpliwość: czy na kilku stronicach można ukazać rezultat 35 lat wytrwałej pracy? Stwierdzono, że nie można, bo na przykład jedna z gazet, która wznosi sobie pomnik już od kilku tygodni, potrzebuje aż całej kolumny druku, by monument podciągnąć o rok—dwa ledwie w górę.

Redaktor L. pomógł wyjść z zaciętego łęgu trudności formalnych, doskonając swoją propozycję: niech to będą — powiedział — takie wypiski, które pokaza „Życie na zakreślonych”. Potem niestety redaktor L. sam musiał wyjść, a ponieważ u nas zawsze kto inny miał pomysły, kto inny je realizował, więc już w tym momencie, unosząc przez analogię, można było przewidzieć, jak to się skończy.

Wobec nieobecności pomysłodawcy następna wątpliwość pojawiła się taka: czy mamy pokazać zakreślone z najnowszej historii, czy zakreślone naszej gazety, gdyż one niezupełnie dokładnie się pokrywają.

Jakie były zakreślone historii, z grubszą wieniec wszyscy — 1956, 1968, 1970, 1976, 1980. Zakreślone gazety polegały na tym, że odpowiedni artykuł ukazywał się w nieodpowiednim czasie i redaktor G., ulegając sugestii najwyższych, wcale przy tym nie prawosłownych czynników, zawartość swego biurka zaczynał po trochu wynosić do aktówce do domu. W historii gazety, przeciwieństwo niż w życiu przez małe „z” i bez cudzysłowu, po najostrożniejszych wyrażach nigdy nie doszło do zderzenia czołowego, zawartość biurka zawsze wracała na swoje miejsce.

Wracając do zebrania, stało na tym, że skoncentrujemy się na gazecie, w miarę możliwości uwzględniając realia, jeśli one oczywiście nie będą się kłócić z naszą koncepcją ukazania działalności pisma.

Po drodze doszło do jeszcze jednej kontrowersji: czy mamy się zaprezentować jako zespół sukcesu, czy zaryzykować tezę, że nieobecna nam były także i upadki?

Dzisiaj, nie tylko w dziennikarstwie, sukces ma miarę odmiennej niż choćby kilka miesięcy temu. Tak jak fakt urodzenia metryką, sukces, który stał się walorem moralno-intelektualnym, trzeba poświadczyć dalekożernością i nonkonformizmem w okresach minionych, ze szczególnym uwzględnieniem ostatniego dziesięciolecia. Dobrze jest jeszcze przy tym udokumentować, że zawsze się było przeciwko nadmiernej rozbudowie programu inwestycyjnego i woluntarystycznej polityce kierownictwa, za demokracją, skromnością i przeciw konsumpcyjnemu rozpasaniu.

W sumie na człowieka sukcesu czasów odnowy składają się cechy tak sympatyczne, że innych ludzi w tej chwili już nie masz, co ostatnio udowodniły wywiady w „Polityce” i „Życiu Literackim”.

Przepraszam, że w tej relacji z naszego zebrania niektóre wątki mi się płącały, ale ma to także swoją dobrą stronę — wierne odzwierciedlało zespołowej pracy dla jubileuszuwego efektu. A zrobiliśmy wszystko,

co w naszej mocy, czerpiąc z aktualnych wzorów:

Powolałmy wieloosobową jubileuszową komisję, która demokratycznie reprezentowała najrozmaitsze stanowiska szerokiego ogółu wobec propozycji redaktora L., czyli wypisów na temat zakreślonych.

Redaktor S. i ja byliśmy w zasadzie „przeciw”. Redaktor C. z wyrażeniem swojej opinii czekał na efekt końcowy prac, reszta obecnych była „za”. W zasadzie.

Każdy z nas przywiązany był do innego okresu działalności pisma, miał odmienny pogląd na sens jubileuszów w ogóle i odmienną receptę na sposób ich przygotowywania. Wyrażenie powodu, aby wstrzymać się od prac koncepcyjnych nie było i posuwały się do przodu.

Zgodnie wypowiedzieliśmy się za formułą sukcesu, bo rysy na obrazie przeszłości odnaleźliśmy niewielkie i ich zignorowanie łatwe nawet było do uzasadnienia teoretycznego. Przypomniałem znane naukowe prawo, wedle którego tylko krowa nie zmienia poglądów.

Wreszcie przystąpiliśmy do części roboczej, czyli sporządzania szczegółowego scenariusza naszych dokonań, co pozwoliło nam się zachwycić sobą jeszcze bardziej.

Bez względu na to, jak zakurzony byłby rocznik zdejmuwany z archiwalnej półki, w środku kuśli oko bezlik pięknych nazwisk i pięknych myśli. Już w latach sześćdziesiątych „Życie Gospodarcze” było się o to, żeby ogłosek zaśpiewać, czyli o samorząd, było się o rolnictwo, o program mieszkaniowy (skuteczny), o przyzwyczajenie minimum życiowe dla wszystkich, o komunikację masową, w miejsce kultury itd. Łatwiej by wymienić, o czym milczało.

Redaktor S. czytał na głos celniejsze ustępy i — trudno uwierzyć — te akapity można by było wydrukować dzisiaj, tak bardzo byliśmy dalekoczuwocni.

W latach siedemdziesiątych byliśmy się z grubszą biorąc o to samo, o demokrację, o rolnictwo, o program mieszkaniowy, o komunikację zbiorową itd., dołączając jeszcze dość tubalnie nasz słuszny głos w sprawach inwestycji.

Redaktor S. czytał na głos i znano widać było jak na dłoni, że przestrzegaliśmy słusznie, krytykowaliśmy unikliwe, a cele wykreślaliśmy tak trafnie, że nie dodać, tylko przedrukowywać.

W miarę jak redaktor S. czytał, powoli wszyscy dostawaliśmy retrospekcji i szczęśliwy poród wydawał się już bliski, kiedy redaktor K. zapadła na nowe wątpliwości. Zdecydowała się zapytać, czy jeśli przez tyle lat bez większego efektu bijemy się ciałem o to samo, po każdym zakreśle naszej najnowszej historii stając wobec tych samych nie rozwiązanych problemów, to czy jest to najlepszy moment, żeby fetować działalność?

Wobec nieskrepowanej procedury obrad jedną redaktor K. dążyła się zakrzyczeć, ale kłękę zebraniu zgatował redaktor M., podejmując dyskusję merytoryczną. Dobrze zaczął od tego, że baza za każdym razem była inna, ale ku własnemu zaskoczeniu zakończył stwierdzeniem, że najgorsze jest to, iż demokracja także nie udało się obronić. Redaktor M. jest człowiekiem myślącym logicznie i ten sposób posługiwania się głową plata mu niekiedy figla.

Obrady uwróciły w fazę kryzysową. Nasze początkowe rozterki, wyrażające się pytaniem „jak uczcić?”, wydały się teraz zupełnie niepoważne wobec pytania — co uczcić?

Impas trwał, gdy przyszedł redaktor G., szef. Nieskazitą wiedzą o dotychczasowym przebiegu dyskusji i naszych rozmaitych pomysłach. Redaktor G. zaproponował, żeby przedrukować artykuł Oskara Langego, który ukazał się w „Życiu Gospodarczym” w roku 1956. Propozycję uzasadniał jakoś młynie. Mówił, że warto przypomnieć prawdę ekonomiczną i społeczną, które nie straciły aktualności, że warto może nawet coś z tego zrealizować. Dokładnie nie pamiętam, bo przestałem notować.

Propozycja jak propozycja, ani oryginalna, ani efektowna, ani zabawna; właściwie, to nawet nie bardzo było o czym podyskutować. Mimo to artykuł Langego możecie państwo przeczytać obok. Numer z naszej tj. zespołu winy, stracił swój jubileuszowy, odświeżony w zamysłu charakter. Po prostu — znów przegraliśmy demokrację.

SADYBA

PRZEDPŁATY NA SAMOCHODY

Nie lekceważymy praw rynku przy ustalaniu zasad przedpłat na samochody! Czym większa będzie różnica pomiędzy ceną wolnorynkową a ceną urzędową samochodu, tym większe będą szanse, że każda osoba dysponująca tzw. wolną gotówką potraktuje przedpłatę jako najlepszą lokatę bez względu na to, czy miała dotychczas zamiar kupić samochód. Atrakcyjność tej lokaty sprawi, że w kolejce do przedpłat ustawia się niemal wszyscy korzystając z pożyczek, działając na rachunek krownych lub znających itd.

Uważam, że w tych warunkach nie da się uniknąć atmosfery z „okresu fałszów”, a stosowane kryteria aprobowane będą tylko przez tych, którzy dzięki nim będą mieli możliwość dostania się na listy przedpłat. Nie będzie przy tym wiadome, czy okaza się nimi przyszli użytkownicy zakupionych samochodów, czy też jedynie amatorzy zyskania różnicy na cenie.

Zapobiec takiej sytuacji można tylko przy ustalaniu ceny równowagi lub do niej zbliżonej. Nadmierna akumulacja osiągnięta przy takiej cenie powinna być przeznaczona na konkretne cele społeczne.

ADAM SOBOLEWSKI
Warszawa

*

Uważamy, że w latach 1982—1986 prawo zakupu samochodu powinni mieć ci, którzy pracują 5—40 lat i nie są posiadaczami samochodu w ogóle lub mają samochód 5-letni. Za podstawę powinno być gospodarstwo domowe. Rejestry posiadaczy samochodów można ustalić w urzędach terenowych na podstawie opłat podatku drogowego i w PZU na podstawie opłat ubezpieczenia.

Proponujemy, żeby listy chętnych na poszczególne marki samochodów i lata ich otrzymania spisywały rady zakładów w zakładach pracy przyjmujące zasadę, że tylko mąż (przedstawiciel rodziny) i jeden żywiciel rodziny oraz osoby samotne (imię, nazwisko + adres) mogą być wpisane na listę. Listy te rady zakładów sprawdziłyby w urzędach terenowych lub PZU.

Inwalidzi, rolnicy, taksówkarze, prywatna inicjatywa występowałyby o przedpłaty do urzędów terenowych na podobnej zasadzie.

Taka procedura, jednolita i niezbyt skomplikowana, byłaby zrozumiała i sprawiedliwa dla wszystkich. Czarne rynek-gielda ograniczyłby się same. Wzrosła by dbałość o samochody, bo musiałby stać się dłuższy.

Powinny być zagwarantowane ceny samochodów, żeby każdy wiedział: co i kiedy będzie mógł kupić za swoje zablokowane oszczędności.

Dopuszczenie do zakładania książeczek z przedpłatami na samochody absolutnie wszystkich i w dowolnych ilościach doprowadzi do tego, że posiadacze kominów placowych natychmiast ułożą finansowo w tym przedsięwzięciu, aby robić interesy na giełdzie.

Przypuszczamy, że przy tak określonych zasadach przedpłat mniej będzie wydatków na mięso i niektóre ekstrakta produkty żywnościowe, bo będzie konkretny cel oszczędzania. Nie zaskodzi też, jak trochę bonzów pochodził piechota. Będą wiedzieli jak to jest.

MARIA SIERADZKA
JANINA MAKOWSKA
WŁADYSŁAWA KRAJCZYŃSKA
Warszawa

*

W dniu ogłoszenia przedpłat na samochody utworzą się kilometrowe kolejki przed oddziałami PKO zawierającymi komisja społeczną wręczającą numerki, powstaną machinie związane z odstępowaniem miejsca w kolejce itd.

Dla mnie, pracującego zawodowo, nie jest możliwe udzielenie sobie urlopu wypoczynkowego w celu zajęcia miejsca w kolejce.

Nie jest również do przyjęcia propozycja zapisów za pośrednictwem zakładów pracy. Powstaje wątpliwość, jak rozdzielone zostaną „limity” dla zakładów, a głównie dla zakładów mniejszych, np. zatrudniających 200 pracowników. Od 1976 roku przez zakład pracy staraniem się o talon i z każdym dniem możliwością uzyskania samochodu stawała się koniecznością. Nie widzę również powodu, dla którego o moich zakupach miałaby decydować rada zakładowa lub inny organ. Proponuję zapisy na samochody przeprowadzić w dwóch etapach według następujących zasad:

I etap: Przyjąć wpłaty I raty od wszystkich chętnych; przyjmować wpłaty w styczniu 1981 r. przez okres 14 dni, na konta PKO, bezosobnie od zainteresowanych lub po-

przez zakłady pracy. Przyjęcie wpłaty nie oznaczałoby określenia kolejności otrzymania samochodu. Pierwsza rata dla samochodu małopłatnego (Fiat 126p) powinna wynosić w tym etapie 75 proc. ceny samochodu, a dla samochodu średniopłatnego (Fiat 125p) 60 proc. ceny.

Oddziały PKO w porozumieniu z „Polmozybiem” powinny wyeliminować te osoby, które w ostatnich czterech latach (od 1.1.1977 r.) otrzymały samochody jakiegokolwiek rodzaju (talony, przedpłaty PKO itd.). Osoby te mogłyby ubiegać się o przyjęcie wpłaty w II etapie lub zakupić samochód wg cen „ekspresowych”. W lutym 1981 roku należałoby przeprowadzić losowanie w oddziałach PKO (jednolita zasada w całym kraju) z podziałem na rok 1982, 1983 i ewentualnie lata dalsze. PKO zawiadomiloby zainteresowanych do dnia 28.11.1981 r. o orientacyjnym terminie otrzymania samochodu (wg kolejności z losowania).

II etap: Ogłosić termin przyjmowania wpłat po zakończeniu I etapu, kiedy znana będzie liczba samochodów „wykupionych” przez uczestników I etapu zapisów. Wysokość I raty wpłaty, wg mojej oceny, na lata 1982—85 powinna wynosić dla samochodu małopłatnego (Fiat 126p) 40 proc. ceny, dla samochodu średniopłatnego (Fiat 125p) 30 proc. ceny.

Odpowiednie wysokości kierunkowe wpłat na lata 1986—90 powinny wynosić: na samochód małopłatny i średniopłatny — 20 proc. ceny.

Jeśli spowodowałyby to kolejki przed PKO, należałoby ustalić 14 dni na wpłaty i również przyjąć zasadę losowania, ale tylko w odniesieniu do samochodów do roku 1985.

Wpłaty na samochody w latach 1986—90 powinny być przyjmowane do 30.VI.1981 r. Tu decydować powinna kolejność wpłat.

Wpłaty na rachunki PKO powinny być oprocentowane jak bony lokacyjne, tj. w wysokości 9 proc. w stosunku rocznym, będą to bowiem oszczędności odłożone przez okres dłuższy niż 12 miesięcy, z przeliczeniem 5 proc. — na modernizację i kooperację przemysłu samochodowego, 4 proc. — na dopisanie do indywidualnego wkładu.

Zlikwidować talony, z wyjątkiem dla pracowników służby zdrowia i rolników pracujących w terenie, ale pod warunkiem, że od ostatniego przedziału upłyne 4 lata. Ta grupa pracowników musi również dbać o samochody i nie Hozyć, że w przypadku zniszczenia „dadzą nowy”.

EUGENIUSZ KACA
Radom

*

Ogłaszane listy wylosowanych samochodów powinny być uporządkowane według numerów dowodów osobistych właścicieli książeczek. W przypadku, gdy ten sam numer dowodu powtórzy się kilkakrotnie, wszystkie książeczki danej osoby należy unieważnić, a pieniądze zwrócić właścicielowi. Zapobiegnie to nabywcy kilku samochodów przez tę samą osobę. Prawo jazdy należy okazywać zarówno przy rejestracji książeczki w „Polmozybiu”, jak i przy odbiorze samochodu.

Projekt, aby obowiązywała cena w dniu odbioru samochodu jest preferowaniem producenta-monopolisty. Wszystkie wpłaty wnoszone w przepisanych terminach stanowią zapłatę za odpowiednią część samochodu, według jego ceny obowiązującej w dniu, w którym wpłata powinna być dokonana. Wydaje się dopuszczalne jedynie częściowe przeliczenie ryzyka zmiany cen na kupującego. Można więc przyjąć, iż zwiększenie ceny samochodu może zrułować na wcześniej wpłacone sumy jedynie do wysokości odsetek naliczonych przez PKO od tych sum. Inflacyjne różnice cen powinien pokryć skarb państwa, ponieważ cała akcja przedpłaty jest w istocie dobrowolną pożyczką dla skarbu państwa. Ceny samochodów powinny być w dniu 1.1.1981 r. tak ustalone, aby dalszy ich wzrost wynikał wyłącznie z inflacji (do czego nawiasem mówiąc, nie powinno dojść).

Znacznie zmniejszy się liczbę wpłat na samochody, jeśli jednocześnie wprowadzi się podobną procedurę sprzedaży innych poszukiwanych na rynku dóbr trwałego użytku, jak telewizory kolorowe, pralki automatyczne itp.

EGBERT PIASECKI
Wrocław

W SPRAWIE DORAŻNEGO PROGRAMU

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

gólnym sklepem państwowym lub spółdzielczym lub ich grupom bezpośrednie zaopatrywanie się oraz zamawianie towarów od przemysłu terenowego oraz rzemiosła i chałupnictwa.

6 Systematyczny program polityki handlu zagranicznego. Przewidywanie istniejących trudności gospodarczych, a zwłaszcza podniesienie stopy życiowej, wymaga również uporządkowania handlu zagranicznego. Nasz handel zagraniczny rozwijał się dość żywiołowo w zależności od stanu rynków w krajach kapitalistycznych oraz z zapotrzebowania krajów obozu socjalistycznego. Najbliższy okres będzie wymagał z jednej strony zwiększenia importu nawozów dla rolnictwa i surowców dla przemysłu, zwłaszcza dla przemysłu wyrobów artykułów konsumpcyjnych, z drugiej zaś strony zmniejszenia eksportu żywności. Wymagać to będzie systematycznej analizy efektywności poszczególnych kierunków handlu zagranicznego oraz poszczególnych rynków.

Przez odpowiednio dobrane inwestycje można zwiększyć efektywność eksportu i uzyskać poprawę bilansu płatniczego. Do takich inwestycji należy na przykład wszystkie inwestycje zmniejszające zużycie węgla w kraju lub inwestycje przekształcające wywołane obecnie półprodukty chemiczne na produkty gotowe. Potrzebna jest także pewna koncentracja naszego handlu zagranicznego po liniach zapewniających jego szczególną efektywność ekonomiczną. Należy także dążyć do pewnej rejonizacji naszych rynków eksportowych, do skoncentrowania się na pewnych wybranych rynkach i wyrobieniu sobie na nich całych stunków handlowych. W tej dziedzinie jest potrzebne porozumienie ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami demokracji ludowej. Istnieją również możliwości dość rychłego polepszenia bilansu płatniczego bez zbyt wielkich nakładów inwestycyjnych takimi środkami, jak na przykład zwiększenie atrakcyjności naszych portów.

7 Przystosowanie struktury inwestycji. Wymienione wyżej środki uporządkowania gospodarki narodowej wymagają przystosowania struktury inwestycji. W dziedzinie przemysłu potrzebne jest przesunięcie inwestycji od inwestycji w nowe środki trwałe, w szczególności urządzeń przemysłowych do inwestycji mających na celu zwiększenie produkcji surowców dla przemysłu oraz nawozów dla rolnictwa. Jest również potrzebne przesunięcie inwestycji od inwestycji zmniejszających zatrudnienie siły roboczej do

inwestycji umożliwiających zmniejszenie zużycia materiałów. W dziedzinie budownictwa nastąpić musi przesunięcie inwestycji z przemysłu do budownictwa wiejskiego. Potrzebne są również pewne inwestycje, chociaż ze względów możliwości mobilizacji ukrytych rezerw w terenie inwestycje te są niewielkie, na rzecz rozwoju rzemiosła i przemysłu miejscowego. Na szczególną uwagę zasługują inwestycje dające szybki skutek w dziedzinie zwiększenia efektywności handlu zagranicznego. Zachodzi także potrzeba pewnych, niezbyt wielkich zresztą, inwestycji związanych z konwersją części przemysłu zbrojeniowego na cele produkcji służącej zaspokojeniu potrzeb ludności.

Jeżeli chodzi o ogólny poziom inwestycji, to obniżenie go dla zwolnienia większych środków na cele konsumpcyjne jest w zasadzie niemożliwe. Zwiększenie produkcji artykułów konsumpcyjnych, zarówno przemysłowych jak i rolniczych, oraz zwiększenie importu (względnie zmniejszenie eksportu) artykułów konsumpcyjnych czy też surowców służących dla wytwarzania artykułów konsumpcyjnych wymaga raczej pewnego zwiększenia nakładów inwestycyjnych. Zagadnienie więc sprowadza się nie tyle do zmniejszenia poziomu inwestycji, ile do zapewnienia jego właściwej struktury. Struktura inwestycji powinna zapewnić maksymalną efektywność z punktu widzenia szybkiego podniesienia stopy życiowej. Ponadto przez obniżenie kosztów inwestycji można zmniejszyć poziom inwestycji potrzebnych dla osiągnięcia danego efektu gospodarczego.

8 Przywrócenie zainteresowania pracowników w wynikach pracy. Zagadnienie to łączy się częściowo ze sprawą systemu wynagrodzeń i premii, za sprawą udziału pracowników w zyskach przedsiębiorstwa itp. Sprawy te są znane i szeroko dyskutowane, odpowiednie kroki zmierzające do zwiększenia materialnego zainteresowania pracowników są nieodłączną częścią uporządkowania gospodarki narodowej. Zagadnienie stosunku do pracy nie wolno jednak zaważać do spraw bezpośrednich bodźców materialnych. Łącząc się one także z szeregiem spraw natury ogólniejszej, jak stopa życiowa, warunki awansu, kwestia udziału w zarządzaniu przedsiębiorstwem oraz zaufanie do racjonalności polityki gospodarczej państwa.

Nihilistyczna postawa wielkiej części pracowników jest wynikiem zarówno niskiej stopy życiowej, jak też braku zaufania, że polityka gospodarcza wymagająca od mas pracujących takich ofiar jest słuszna i uzasadniona. Stąd właśnie paląca potrzeba wystąpienia z programem uporządkowania gospodarki narodo-

wej. Trzeba, żeby masę pracującą wiedziały, że partia i rząd przystępują do mobilizacji wszystkich rezerw umożliwiających podniesienie stopy życiowej, że podejmują środki zmierzające do wstrzymania i odwrócenia rozprężenia gospodarki narodowej, że mają jasny, realny program przewyższenia istniejących trudności gospodarczych.

W związku z tym potrzebna jest także likwidacja nadmiernego aparatu biurokratycznego, który się rozrósł we wszystkich dziedzinach gospodarki narodowej. Aparat ten hamuje sprawność gospodarki oraz pochłania w sposób nieprodukcyjny nadmierną część dochodu narodowego. Wiedzą o tym masę pracującą, które uważają nadmierny aparat biurokratyczny za przejaw marnotrawstwa i złego gospodarowania. Zagadnienie naprawy sytuacji w tej dziedzinie jest związane ze zmianą metod zarządzania gospodarką narodową i dlatego wykracza poza ramy doradczego programu uporządkowania gospodarki narodowej. Niemniej jednak pewne kroki w tym kierunku muszą być podjęte szybko, gdyż są one nieodzowne dla przywrócenia zaufania do racjonalności naszej polityki gospodarczej.

Od szeregu lat w naszym życiu gospodarczym istnieje brak powiązań między osiągnięciami pracowników w jego pracy zawodowej a warunkami awansu. Polityka personalna była całkiem niezależna od wyników pracy danego pracownika. Decydowały o niej kryteria pseudo-polityczne. „Pseudo” — dlatego, że w praktyce decydowała nie prawdziwa ocena postawy politycznej w stosunku do państwa ludowego, ale formalistyczna, biurokratyczna ocena, opierająca się na ankietach, powiązaniach kumotersko-klikiowych. Ocena taka faworyzowała osobniki dążących do kariery nie na podstawie dobrych stosunków z wydziałem personalnym. Co więcej, w imię owych pseudopolitycznych racji rozbijano zespoły fachowego personelu posiadającego długoletnie doświadczenie zawodowe i znajomość warunków miejsca pracy. „Przetasowywano” ludzi, doświadczonego fachowca zastępowano ludźmi bez kwalifikacji fachowych, których lojalność polityczna często była tylko pozorna, często nawet ludźmi o wątpliwej wartości moralnej. Nowa kadra, która tworzyła się w związku z rozbudową gospodarki narodowej, nie miała u kogo nabywać fachowej wiedzy i doświadczeń. W rezultacie nastąpiło ogólne obniżenie poziomu kadr we wszystkich dziedzinach gospodarki narodowej.

W celu przełamania nihilistycznego ustosunkowania się do pracy potrzebne jest wprowadzenie i ściśle przestrzeganie zasady polegającej na oddaniu doboru i awansu pracowni-

ków w ręce kierownictwa odpowiedzialnego za wyniki pracy w przedsiębiorstwach lub instytucjach. Otworzy to drogę do ukształtowania się zespołów pracowniczych, w których rezultaty pracy są podstawowym kryterium doboru i awansu. Doprowadzi to również do likwidacji kumoterstwa, gdyż odpowiedzialne za pracę kierownictwo nie może sobie pozwolić na „zaśmiecanie” kadry pracowniczej osobami obniżającymi efektywność zawodową zespołu. Miejsce kumoterstwa zajmie oparte na współpracy i na wzajemnym szacunku zawodowe koleżeństwo.

Dalszym środkiem umocnienia zainteresowania pracownika w rezultatach pracy powinno być wydanie zwiększenia udziału pracowników w zarządzaniu przedsiębiorstwem. Udział ten powinien dotyczyć nie tylko warunków pracy, ale całokształtu działalności przedsiębiorstwa, w tym także jego polityki personalnej. Tylko w ten sposób pracownicy będą się czuli gospodarzami zakładu, co jest konieczne dla wytworzenia w pełni pozytywnego, socjalistycznego stosunku do pracy.

9 Dalsza demokratyzacja życia politycznego i społecznego. Rozpręcenie gospodarki narodowej, które nastąpiło w ciągu ostatnich lat, było możliwe tylko w warunkach braku kontroli przez masę pracującą. Brak ten umożliwił zbiurokratyzowanie zarządzania gospodarką narodową, zbytnią centralizację oraz kumulatywne narastanie dysproporcji w gospodarce narodowej. Gdyby te dysproporcje zostały wcześniej ujawnione, nastąpiłoby niewątpliwie powstrzymanie dalszego wzrostu oraz przywrócenie właściwych proporcji. Brak demokratycznej kontroli w partii, w związkach zawodowych, na zebraniach robotniczych, w aparacie administracyjnym uniemożliwił ujawnienie w porę narastającego rozprężenia gospodarki narodowej. Faworyzowany przez opisaną wyżej politykę personalną aparat biurokratyczny systematycznie wprowadzał w błąd kierownictwo partii i państwa przez optymistyczne raporty o sytuacji w poszczególnych dziedzinach gospodarki narodowej. Osoby posiadające rzeczową znajomość i bardziej realistyczną ocenę sytuacji nie miały albo odwagi, albo możliwości przekazywania do wiadomości kierownictwa rzeczywistego stanu rzeczy. W dodatku narastające rozprężenie gospodarki narodowej było skrywane osłanianie przed ewentualną krytyką przez przesadne stosowanie zasady tajemnicy państwowej. W tych warunkach skorygowanie w porę rozwijających się dysproporcji i innych trudności stało się wręcz niemożliwe.

Szybkie sygnalizowanie obiektywnych trudności i ujawnianie subiektywnych błędów, a tym samym także szybkie naprawianie dysproporcji i przewyższenia trudności jest możliwe tylko w warunkach swobodnej dyskusji i krytyki, w warunkach, w których kierownictwo zarządzające gospodarką narodową liczy się z głosem opinii mas pracujących. Bez demokratycznej kontroli operującej się na aktywnym udziale mas pracujących niemożliwe jest przewyższenie narosłych trudności i skuteczne uporządkowanie gospodarki narodowej.

OSKAR LANGE

* Artykuł ten opublikowaliśmy w numerze 14 z 16.VII.1980 r.

STAN I PROPOZYCJE OBROTU ZIEMIĄ

P RZYPOMNIJMY: głównym źródłem obrotu ziemią jest Państwowy Fundusz Ziemi. Zasoby gruntów PFZ w ostatnich latach, jak wynika z danych Banku Gospodarki Żywnościowej stopniowo malały. Był to wynik zmniejszenia się dopływu gruntów od indywidualnych rolników (rolnicy przechodzący na emeryturę przekazyują z reguły gospodarstwo rodzinne), ale także z powodu stopniowego wzrostu sprzedaży gruntów PFZ chłopom. Od razu jednak należy zrobić zastrzeżenie, że ta sprzedaż ziemi rolnikom rodzi się w dużych ilościach.

W 1976 roku w całym kraju, a w latach następnych w części województw, stosowana była praktyka przekazywania na siłę gruntów PFZ państwowym gospodarstwom rolnym, rolniczym spółdzielniom produkcyjnym, a zwłaszcza spółdzielniom kółek rolniczych, często mimo nieposiadania przez te jednostki warunków do racjonalnego zagospodarowania przejmowanych gruntów.

W niektórych województwach i gminach miejscowe władze zajmowały wręcz negatywne stanowisko w sprawie sprzedaży gruntów PFZ indywidualnym rolnikom. Stąd też jedynie w 1977 roku udało się zrealizować sprzedaż rolnikom indywidualnym w planowanych rozmiarach. W pozostałych latach, w znacznej części województw, ograniczano rozmiary tej sprzedaży przymuszając zadania poniżej określonych w NFSG. Jaskrawym przykładem ograniczeń w sprzedaży gruntów PFZ indywidualnym rolnikom jest województwo katowickie, gdzie i w bieżącym roku sprzedaż może nastą-

pić tylko w indywidualnych przypadkach za zgodą wojewody. Na plan 500—1000 ha sprzedano w br. zaledwie 25 ha. Zapas gruntów PFZ wynosi w tym województwie 10 tys. ha i jest stale powiększany w drodze intensywnego wykupu gruntów od dwuzawodowych właścicieli gospodarstw. Podobnie kształtuje się sytuacja w woj. przemyskim, gdzie wprawdzie nie kwestionowano dolnej granicy planu (2000—3000 ha) ale nie stworzono warunków do jego realizacji, mimo istnienia odpowiedniego zapasu gruntów PFZ.

Badania Banku wykazały, że w niektórych województwach hamowana jest sprzedaż gruntów, gdyż są one dzierżawione przez pracowników różnych instytucji działających na wsł. Grunty dzierżawiane są z reguły gorzej zagospodarowane.

Brane są pod uwagę m.in. następujące możliwości usunięcia hamulców obrotu ziemią: po pierwsze decyzje w zakresie gospodarki ziemią pozostałyby w kompetencji administracji państwowej, z tym, że samorząd wiejski, mający zasadniczy wpływ na realizację polityki obrotu ziemią. Konkretnie, o gospodarce ziemią w gminach decydowałaby gminna rada narodowa poprzez odpowiednie komisje, które ustalałyby plan (program) obrotu ziemią i decydowały o kierunkach jej zagospodarowania. Opinie organów samorządowych miałyby charakter wiążący dla naczelników gmin. Naczelnicy gmin zwolnieni byłiby od decyzji, kto ma być nabywcą gruntów PFZ i przekazywałby te uprawniające bankom spółdzielczym, które po zaciągnięciu opinii organów samorządowych dokonywałyby wyboru na-

bywców nieruchomości rolnych. Wymagaloby to zmiany ustawy o sprzedaży państwowych nieruchomości rolnych z 1958 roku.

Istnieje też koncepcja przekazania Bankowi Gospodarki Żywnościowej całości problematyki obrotu ziemią w Polsce. Gdyby ta koncepcja miała być realizowana to BGŻ, który nawiasem mówiąc nie pali się do pełnienia tej funkcji, tak wyobraża sobie organizację obrotu ziemią w Polsce.

Bank Gospodarki Żywnościowej jest wyłącznym dysponentem Państwowego Funduszu Ziemi. Oznacza to, że wszystkie władze mające uprawnienia przejmowania nieruchomości rolnych na własność Państwa obowiązywałyby do przekazania przejmowanej ziemi do dyspozycji BGŻ.

BGŻ dysponuje gruntami PFZ na cele pozarolnicze, na cele rolnicze, dla jednostek uspołecznionego rolnictwa, na cele rolnicze dla indywidualnych gospodarstw w formie sprzedaży i dzierżawy, na cele budownictwa na terenach wiejskich.

Bank decyduje o wykupie ziemi na własność Państwa, bez względu na jej późniejsze przeznaczenie, prowadzi pośrednictwo między rolnikami (i wspiera ten obrót kredytem bankowym), ustala cenę ziemi w obrocie oraz formy udzielania pomocy finansowej przy zakupie nieruchomości rolnych od Państwa i w obrocie między rolnikami. Ponadto BGŻ uważa za niezbędne posiadanie uprawnień organu administracji państwowej we wszystkich sprawach związanych z obrotem nieruchomości rolnymi i działkami budowlanymi na terenie gmin, a także pra-

wa przenoszenia własności odpowiedzialnymi dokumentami bankowymi (umowa) zamiast aktami notarialnymi.

Warunkiem wykonywania tych funkcji byłoby dysponowanie przez Bank odpowiednią służbą geodezyjną do przygotowania wymaganej dokumentacji pomiarowo-klasifikacyjnej i przeprowadzania wymiarów oraz skalania gruntów. BGŻ musiałby otrzymać pracowników z wykształceniem prawniczym do spraw związanych z obrotem nieruchomości rolnymi (przenoszenie własności ziemi), jak również zatrudnić pracowników do spraw zarządzania gospodarstw rolnych.

Przyjęcie tej koncepcji wymagałoby również wyodrębnienia odpowiednich służb w ramach BGŻ na szczeblu centralnym i wojewódzkim i wzmocnienie takich służb na szczeblu gminnych. Wszystko wsparte byłoby odpowiednim finansowaniem jak: pomieszczenia, samochody, sprzęt geodezyjny itp.

BGŻ prowadziłby politykę gruntową samodzielnie w oparciu o decyzje rządu, w konsultacji z centralną i terenową administracją rolną, a na szczeblu gminnym w ścisłym współdziałaniu z samorządem wiejskim. Koszty działalności BGŻ pokrywane byłoby z wpływów ze sprzedaży gruntów, czynszu dzierżawnego za grunty PFZ oraz opłat z tytułu usług bankowych związanych z obrotem ziemią.

Wprowadzenie tej koncepcji wymaga ustawy sejmowej, która uchylaby postanowienia wielu ustaw normujących te zagadnienia. Ustawa ta musiałaby również przesądzić o możliwości przekazywania przez BGŻ niektórych swoich uprawnień bankom spółdzielczym do działania w imieniu Banku.

Zdaniem Centrali BGŻ przygotowanie wdrożenia tej koncepcji wymagałoby półrocznego okresu od przyjęcia projektu ustawy w tej sprawie.

J.D.

NIE MA GOTOWYCH RECEPT

ANDRZEJ CHMIELEWSKI

WIADOMO, że cięcia inwestycyjne będą — bo muszą być — drastyczne. Co do tego wszyscy są zgodni. Przynajmniej jeśli chodzi o globalne nakłady inwestycyjne. Ta zgodność zaczyna się łamać już na szczeblu resortów. Każde ministerstwo uważa, że ograniczenie nakładów powinno dotknąć innych. Każdy resort wysuwa szereg argumentów mniej lub bardziej uzasadnionych za dalszymi inwestycjami. Jeszcze bardziej ostro spirale inwestycyjną nakreślają poszczególne branże, uzależniając wręcz dalszy swój rozwój od miliardów złotych na nowe budowle. Taką samą, nadmierną, skłonność do inwestowania przejawiają przedstawiciele konkretnych, realizowanych już inwestycji. Tam właściwie dopiero, na samym dole toczy się cała batalia o dalsze złotówki inwestycyjne. Batalia, nie pozbawiona często dramatyzmu, ponieważ na konkretnych placach budów skupiają się jak w soczewce interesy resortowe, branżowe i interesy władzy terenowych.

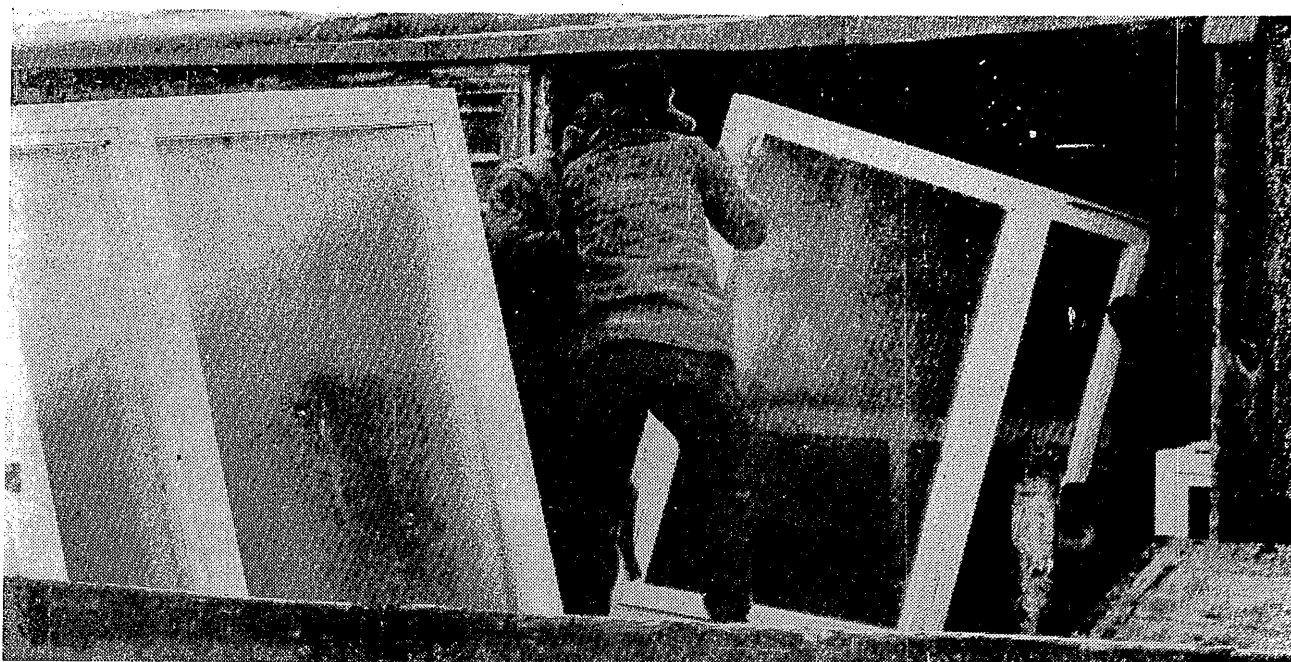
Konkretny przykład

Historia budowy Zakładów Stolarskich Budowlanej „Stolbud” w Tucholi została już dość dokładnie opisana w prasie^{*)}. Przypomnę tylko, że taki zakład powinien stanąć w ciągu trzech lat, a buduje się już piąty rok. Właściwie trudno powiedzieć, że się buduje. Generalny wykonawca — Bydgoskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego — i najwęższej podwykonawcy opuścili teren budowy prawie przed rokiem. Pracuje jeszcze 14-osobowa dyrekcja z ramienia inwestora, ale ani sprzętu, ani ludzi generalnego wykonawcy i podwykonawców nie widać. I nie wiadomo kiedy znów pojawią się w Tucholi.

Budowa „Stolbudu” została wstrzymana. Dzisiaj nikt jeszcze nie wie na jak długo. Czy inwestycja ta powinna być kontynuowana, czy też nie? Nie podejmie się próby jednoznacznej odpowiedzi, ponieważ ze splotu argumentów za i przeciw tej inwestycji powstał istniejący goryski węzeł. Przypuszczam, że podobnie jest w przypadku szeregu innych, mniejszych czy większych inwestycji.

Dopiero teraz mówi się o tym, że już na samym starcie z inwestycją tą nie było dobrze. Najpierw podpisano z duńską firmą „Jutlandia” umowę o kompleksowej dostawie maszyn i urządzeń. Rozliczenie transakcji miało odbywać się na zasadzie samopłaty. Pod tą koncepcją opracowano założenia techniczno-ekonomiczne budowy zakładu. Wydawało się, że jest to najkorzystniejsza forma zakupu potrzebnych urządzeń. Potem obliczono, że jest to w sumie bardzo droga impreza i o wiele taniej będzie kupować maszyny u indywidualnych producentów zagranicznych. Zaczęto więc zmieniać plany i założenia techniczno-ekonomiczne. Oczywiście opóźniło to realizację inwestycji. Słyszałem również opinie, że sama lokalizacja zakładu nie była do końca przemyślana. Budowa takiego giganta — ponad milion m kw. okien i prawie 1,3 mln m kw. drzwi — wymaga dużych ilości drewna. Nie starczyłoby go z wyrebu okolicznych lasów tucholskich. Surowiec trzeba by wiozić z ośmiu tysięcy kilometrów. Czy nie lepiej opłacałoby się zbudować kilka mniejszych zakładów w różnych rejonach kraju? Może i lepiej by było. Ale dyskusja o tym niczego już nie zmieni. Można co najwyżej mówić o lekkomyślnych i nieprzemysłowych decyzjach, ale trudno aby obecnie decydowały one o dalszych losach inwestycji.

Do zakończenia robót budowlano-montażowych i uruchomienia zakładu potrzeba jeszcze około 200 mln



Okna są albo ich nie ma. Trzeba to dokładnie policzyć.

Fot. S. ZUBCZEWSKI

złotych i 17 mln zł dew. Zaawansowanie robót na wielu obiektach jest duże, np.: boczna kolejowa — 96 proc., magazyn centralny — około 74 proc., główny blok produkcyjny z malarnią — 24 proc., ciepłownia — 37 proc. Według klasycznych reguł inwestowania, przytoczone dane przemawiają za kontynuowaniem budowy „Stolbudu”. Rzeczywiście w porównaniu np. z nakładami na II etap Huty Katowice, Belchatowa, Ursusa czy innych do niedawna „szustandowych” inwestycji Tuchola potrzebuje niewiele. Również rzeczowy zakres robót pozostałych do wykonania mógłby dać tej budowie preferencje. Gdyby tylko te czynniki miały decydować o kontynuowaniu budowy „Stolbudu” to nie byłoby żadnych problemów. Ale tak nie jest. Sytuacja gospodarcza jest taka, że trzeba każdą złotówkę inwestycyjną kilkakrotnie oglądać przed jej wydaniem. Ta sytuacja właśnie wymusza wręcz politykę inwestycyjną na najbliższe lata. Politykę polegającą na drastycznym ograniczeniu nakładów. Śmiejmy się, ale nawet twierdząc, że taka polityka nie może być partia żadnym wycinkowym rachunkiem ekonomicznym. Nawet najbardziej logicznym i obiektywnym. Bo gdybyśmy chcieli tak stosować, to Tucholę należałoby budować. Ba, sądzę nawet, że takich przykładów jak inwestycja „Stolbudu” można by znaleźć wiele w całym kraju. I co? Doprowadziłoby to w końcu do rozkręcenia inwestycyjnego kołowrotu od początku.

Komu potrzebna

Jakie więc przyjąć kryterium oceny? Spróbujmy odpowiedzieć na pytanie — komu ta inwestycja jest potrzebna? O jej rozpoczęciu zdecydowały potrzeby gospodarcze budownictwa mieszkaniowego i rynku. Stolarci budowlanej — drzwi i okien — nie było nigdy pod dostatkiem. Co prawda zdarzały się nieraz jakieś nadwyżki, ale zgłaszane potrzeby zawsze przekraczały zdolności produkcyjne Zjednoczenia Stolarskich Budowlanej. W dodatku wyroby były niskiej jakości. Tak przynajmniej zgodnie twierdzili wy-

konawcy naszych mieszkań. I to był decydujący argument przemawiający za rozpoczęciem budowy nowego zakładu w Tucholi. Domagała się tego branża i sam resort budownictwa nalegał na rozwój przemysłów pracujących na rzecz budownictwa mieszkaniowego. To było uzasadnione. Również dzisiaj budownictwo mieszkaniowe w opinii społecznej ma pierwszoplanową rangę, zaraz po żywności. A więc i branża z nim związana powinna mieć także zielone światło dla rozwoju. Według najnowszej oceny resortu budownictwa niedobór stolarci budowlanej sięga prawie 1,8 mln m kw. Tylko w bieżącym roku zabraknie podobno około 746 tys. m kw. okien. Przemawiało to więc za kontynuowaniem tucholskiej inwestycji. Nie wiadomo jednak do czego odnieść ten niedobór stolarci. Do programu mieszkaniowego, który przewidywał wybudowanie około 2,5 mln lokali?

Ale jak dać wiarę resortowym danym? Samo ministerstwo w 1976 roku, a więc w niedzieli rok po rozpoczęciu budowy „Stolbudu” zaczęły przyhamowywać tempo inwestycji. Kierownictwo resortu zaczęło podchodzić z rezerwą do tej budowy po nocach, ze względu na nadprodukcję stolarci budowlanej. Brakowało cementu, stali zbrojeniowej, kruszywa. Zjednoczenia Stolarskich Budowlanej plany produkcyjne jakoś wykonywały. Jednocześnie opóźniała się realizacja planów budownictwa mieszkaniowego. A więc dostatek stolarci budowlanej był pozorny. Tego jednak nie brano pod uwagę, sądząc, że jeśli kiedykolwiek naprawie zabraknie okien i drzwi, to z tej branży da się jeszcze coś niecoś wycisnąć. Jeśli nie poprzez zarznięcie maszyn i urządzeń to poprzez modernizację. Tymczasem według opinii Zjednoczenia Stolarskich Budowlanej nie jest możliwa modernizacja na większą skalę istniejących zakładów ze względu na ich warunki techniczne i lokalizacyjne. Nakłady poniesione na modernizację byłyby nieproporcjonalnie wysokie w stosunku do efektów.

Właśnie. Dwie różne opinie, dwóch organizatorów, które powinny mieć wspólny interes. Nie zamierzam ni-

kogo stawiać pod pretekstem opinii społecznej. Stwierdzam tylko fakty, jak bardzo pogmatwana jest historia tucholskiej inwestycji. Przypuszczam, że nie jest to cecha wyróżniająca ją wśród innych budów. Jest to raczej reguła większości placów budowy. Dopóki po inwestycyjne złotówki można było sięgać prawie bez żadnych ograniczeń, ambicją każdego resortu i branży było budowanie za wszelką cenę. Zdobyć więc jak największe nakłady inwestycyjnych stanowiło swoistą międzyresortową wielką grę. Świadczą o tym przebiegi kierownictw ministerstw ich pozycji i randze. Te resortowe ambicje były mocno popierane przez władze terenowe. Każdy wojewoda zapraszał chętnie do siebie przemysł byle byliby to przedsiębiorstwa duże i „najnowocześniejsze”. Kiedy apetyty inwestycyjne zaczęły przerastać możliwości na wiele placów budowy machnięciem ręką. Może nie całkiem. Zawsze ktoś się kręcił po budowie, coś tam kopano, coś budowano. Było to jednak raczej markowanie robót. Próbowano nawet uzasadnić nieracjonalność niektórych decyzji inwestycyjnych. Dopiero gdy kiesz inwestycyjna stała się pusta, każdy inwestor na wyciągi broni swoich racji. I to niezależnie od tego czy są to inwestycje rzeczywiście niezbędne dla gospodarki, czy też te, które do niedawna były „nieuchwytne”, a często nawet tempo ich realizacji celowo przyhamowywane. To sprawia, że każda rozpoczęta już inwestycja niezależnie od stopnia jej zaawansowania i znaczenia znalazła się w ślepych zaułku. Bo inwestycyjnych złotych nie przybędzie i z czegoś trzeba zrezygnować.

Dla miasta

Takie miasto jak Tuchola, liczące 10 tys. mieszkańców nie waży na gospodarce mapie kraju. Tuchola to raczej miasto żyjące sezonem letnim, turystyczna atrakcja, określana w przewodnikach mianem bramy do Borów Tucholskich. Miasto trzy lata temu zwyciężyło w telewizyjnym turnieju „Bank 440”. Podobno historia tych telewizyjnych zmagani nie zna tak przekonującego

i miazdzącego konkurentów zwycięstwa.

Ale spójrzmy i na inną stronę. W dziesięciotysięcznym mieście na mieszkanie czeka się prawie 10 lat. Liczba oczekujących wcale się nie zmniejsza. Na liście miejscowej spółdzielni mieszkaniowej wpisanych jest 1200 rodzin. I lista jest już w ogóle zamknięta. A od 1962 roku, kiedy powstała spółdzielnia mieszkaniowa, do chwili obecnej oddano do użytku 307 lokali. Trudno się więc dziwić, że naczelnik miasta i gminy Józef Basta narzeka na ucieczkę młodych ludzi.

Doszła jednak do paradoksalnej sytuacji. Budowany zakład zamiast funkcjonować w ramach organizmu miejskiego, wciągnął w orbitę swego zainteresowania całą bez mała Tucholę. I to z całym bagażem korzyści i kłopotów. A tych ostatnich, niestety, jest coraz więcej. Powstające przedsiębiorstwo miało partycypować w budowie systemu centralnego ogrzewania, rozbudowie dróg, kanalizacji, oczyszczalni ścieków, budowie przedszkola. Z nakładów inwestycyjnych stolarci budowlanej miały być pokryte w 80 proc. koszty budowy żłobka. Jednak termin zakończenia inwestycji wydłużył się, a wreszcie w roku bieżącym budowa stanęła na dobre.

Decyzje w tej sprawie zapadają gdzieś daleko. Tak daleko, że naczelnikowi Tucholi nie pozostaje nic innego jak zwoływać kolejne narady, na których padają „wiązące zobowiązania” i „konkretnie teminy”. I przeważnie nic z nich nie wychodzi. Obecnie w urzędzie miejskim nie myśli się już o całej inwestycji. Wyśilk władz terenowych skierowane są jedynie już tylko na budowę kotłowni zakładowej. Miała ona ogrzewać 120 mieszkań. Ale na początku tego roku, wykonawca — Bydgoskie Przedsiębiorstwo Instalacji Przemysłowych „Binstal” — opuściło teren budowy i więcej się na nim nie pokazało, bo podobno zabrakło limitu na dalsze prace budowlano-montażowe. Władze terenowe zdobyły co prawda niewielki limit 5 mln złotych (do zakończenia budowy kotłowni trzeba jeszcze około 26 mln złotych). Naczelnik miasta wyrwał nawet kilkstu pracowników z miejscowych

instytucji — POM, Zespół Szkół Mechanicznych, Spółdzielnia Budownictwa Wodnego — którzy mieli uzupełnić załogę głównego wykonawcy kotłowni „Binstalu”. Budowlani nie pokazali się jednak w Tucholi motywując to tym, że miejscowi pracownicy nie są żadną wykwalifikowaną siłą roboczą do tak skomplikowanych prac. I na tym koniec? Nie. Bowiem w tym roku nie odda się do użytku 80 mieszkań, ponieważ nie ma doprowadzonego ciepła. To już nie są przelewki i ta sprawa nie może być uzależniona od „widzimisię” przedsiębiorstw budowlanych. Wśród mieszkańców Tucholi krąży już różne plotki i domysły. Do redakcji bydgoskich „Profil” napłynął list od mieszkańca Tucholi, którego fragmenty przytaczam: „Dyrekcja „Stolbudu” w naszym mieście posiada od pięciu lat pulę mieszkań dla swoich pracowników (...), ale niektórzy stoją od pięciu lat puste. Nazywają się niby hotelowe, ale chyba tylko dla dyrektora, który na okres letni wynajmuje je własnej rodzinie. Miałoby to miejsce w tym roku, chociaż mamy w Tucholi dwa hotele oczekujące na wczasowiczów. Podział tych mieszkań też budzi wiele zastrzeżeń. Otóż otrzymują je osoby, którym w ogóle się one nie należą, chociaż ludzie czekają u nas na mieszkanie bardzo długo lata. Ludzie mówią również, że jak tylko budowlani opuścili miasto, to i pozostali na miejscu dyrekcji przestali jakoś zależeć na tym co się dzieje na placu budowy. Może wejść tam każdy i zabrać to co jeszcze pozostało — resztki materiałów budowlanych. Podobno już są spore nadużycia i kradzieże, a milicja prowadzi w tej sprawie dochodzenie.

I co dalej?

Co zrobić z tą inwestycją? Zgłaszają się już chętni do jej przejęcia. Jest trzech kandydatów: zakłady rowerowe, branża meblarska i „Polfa”. Każdy z nowych inwestorów ma już podobno konkretne plany co do dalszych losów zakładu. Uważam, że tą koncepcję należy z całą stanowczością odrzucić. Choćby w przypadku „Polfy” nie jestem tego tak pewien. Tu chodzi o lekarstwa. Każda jednak zmiana przeznaczenia tej inwestycji pociągnęłaby za sobą dalsze nakłady inwestycyjne związane z koniecznością przebudowy istniejących już obiektów i przystosowaniem ich do nowej produkcji. Zresztą zmiana inwestora wcale nam nie uproszcza inwestycyjnego frontu. A wprost przeciwnie. Może wprowadzić jeszcze większy zamęt. Presja na zwiększenie nakładów inwestycyjnych pozostanie bowiem taka sama lub nawet się zwiększy. Byłoby to po prostu nakręcanie inwestycyjnej spirali innymi rękoma.

I co dalej z Tucholą? Może należałoby tylko skończyć budowę kotłowni. A może należałoby dać szansę miastu i jak najszybciej zakończyć całą inwestycję. Miasto obiecuje sobie bardzo dużo po tym zakładzie, a na jego produkcję czeka budownictwo mieszkaniowe. Nie wiem jakie jest wyjście. Nie ma gotowych recept.

Musimy znacznie ograniczyć nakłady inwestycyjne w całej gospodarce. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Jednak inaczej wygląda to przez pryzmat całej gospodarki, gdy mówi się o miliardach złotych, a zupełnie inaczej w zerknięciu z konkretną inwestycją. Taką na przykład jak w Tucholi. Drży ręka w tym przypadku. Uwaga! Strefa ochronna: chodzi o mieszkańców.

^{*)} Tadeusz Gorzkowski: „Tuchola spowolniona” („Życie Gospodarcze” nr 59 z 1979 r.); Bogusław Jeneralski: „Laureat z liszajami” („Profil” nr 47 z 1989 r.).

aktualności

BUDŻET NA 1981 R.

Jak wynika z informacji rzecznicza prasowego rządu, w przyszłym roku liczyć się trzeba, że dochody budżetu państwa wzrosną tylko o 1 proc., a wydatki o ponad 20 proc. W konsekwencji wystąpi deficyt budżetowy rzędu 100 mld zł. Zdecydowano bowiem, że pomimo trudności gospodarczych i dużych podwyżek plac hamujących przyrost dochodów budżetowych — trzeba wyjąć naprzeciw umiaru na potrzeby kultury realizowane w resorcie kultury i sztuki. Wydatki na gospodarkę komunalną wzrosną o 22 proc.

Szczególnie duże wzrosty przewidziano w bardzo ważnych dla społeczeństwa wydatkach na działalność socjalną i kulturalną oraz na gospodarkę komunalną. Np. wydatki na ochronę zdrowia wzrosną o ok. 30 proc., na szkolnictwo ogólnokształcące i wychowanie o ok. 23 proc. W tych też granicach wzrosną wydatki na potrzeby kultury realizowane w resorcie kultury i sztuki. Wydatki na gospodarkę komunalną wzrosną o 22 proc.

Podstawowym problemem przyszłego roku jest poszukiwanie i realizacja przedsięwzięć niezbędnych dla likwidacji deficytu budżetowego.

HODOWLA W MAŁYCH GOSPODARSTWACH

Sygnały o załamaniu hodowli trzody w małych gospodarstwach, na

działkach przydomowych itp. sprawy, że minister przemysłu spożywczego i skupu podjął ostatnio decyzję zmierzającą do ożywienia tej hodowli. Sprzyjać temu ma wprowadzenie możliwości zakupu 200 kg paszy przemysłowej przez każdego, kto zakupi do hodowli 2 prosiąt i jedno z nich zakontraktuje.

Rozwój hodowli trzody wymaga, aby zasada ta jak najszybciej została wprowadzona w życie w całym kraju, a jej realizacja nie została przez gminne spółdzielnie zbytnio biurokratyzowana. Ważne jest zwłaszcza, żeby sprzedaż paszy mogła się odbywać zaraz po zakontraktowaniu dostawy. (Sb)

WĘGIEL NA RYNEK

Dostawy węgla na potrzeby rynku, które w 1978 r. wynosiły 21,6 mln ton, w 1979 r. wzrosły do 22,8 mln ton. Były to jednak dostawy o ok. 1 mln ton niższe niż wynikało to z ówczesnych ocen zapotrzebowania. W konsekwencji zwiększenie dostaw rynkowych węgla do 24,9 mln ton w br. okazało się niewystarczające. Gospodarstwa rolne i gospodarstwa domowe w przeważającej większości nie dysponowały bowiem żadnymi zapasami opału, a wielu rolników dopiero w br. odbiera węgiel należny im z tytułu kontraktacji żywności wieprzowej za rok ubiegły. (Sb)

HANDEL AJENCYJNY

Do końca czerwca br. jednostki gospodarki uspołecznionej przekazywały agentom do prowadzenia na podstawie umowy zlecenia ok. 14 tys. punktów sprzedaży detalicznej. Stanowi to ok. 42 proc. sieci detalicznej zakwalifikowanej do przekazywania w agencje. Średnia wielkość sklepu agencji wynosi ok. 52 m kw. powierzchni użytkowej. Osiągane przez sklepy agencyjne obroty w skali rocznej szacowane są na ok. 39 mld zł, co stanowi 3,7 proc. ogólnych obrotów handlu detalicznego.

W ogólnej liczbie sklepów agencyjnych największą grupę stanowią sklepy warzywno-owocowe (ok. 25 proc.) i ogólnospożywcze (ok. 20 proc.). Słabą stroną funkcjonowania tych sklepów są sygnalizowane liczące przypadki unikania obrotów tańszymi towarami, a zwłaszcza ziemniakami, marchwią, burakami itp. Ponadto notowane są znaczne opóźnienia w regulowaniu przez agentów należności za pobrane z hurtowni towary i należne przedsiębiorstwom nadzorującym ryzałty. (Sb)

RELACJE W PRZEMYSŁE

Spadkowi produkcji sprzedanej przemysłu w październiku br. o ponad 5 proc. w porównaniu z październikiem ubr. towarzyszył wzrost osobowego funduszu plac o ok. 10 proc. i przeciętna płacy miesięcz-

nej o ok. 19,6 proc. Wydajność pracy spadła natomiast o 4,6 proc. Nastąpiło więc wyraźne pogorszenie relacji ekonomicznych w przedsiębiorstwach przemysłowych, spowodowane różnokierunkowymi zmianami w kształtowaniu produkcji i plac.

Nastąpiło również pogorszenie relacji liczonej za okres całych 10 miesięcy roku. W ubr. mieliśmy w tym czasie do czynienia ze wzrostem produkcji sprzedanej o ok. 3 proc. przy wzroście osobowego funduszu plac o 8 proc. Natomiast w br. wzrostowi produkcji o 2,7 proc. towarzyszył wzrost osobowego funduszu plac o 13 proc. (Sb)

RELACJE W BUDOWNICTWIE

Produkcja podstawowa przedsiębiorstw budowlano-montażowych w październiku br. była o 16 proc. niższa niż w październiku ubr. Przeciętne zatrudnienie spadło w związku z tym tylko o 5,5 proc., co sprawia, że wartość produkcji na jednego zatrudnionego obniżyła się o ok. 10 proc. Osobowy fundusz plac wzrósł natomiast o 9 proc., a przeciętna płaca o 15 proc.

Również w skali całych minionych 10 miesięcy relacje w budownictwie są niekorzystne. Produkcja podstawowa spadła bowiem o 4,7 proc. przy spadku zatrudnienia o 3,3 proc. Równocześnie osobowy fundusz plac wzrósł o 6,2 proc., a przeciętna płaca

o ok. 10 proc. przy wzroście wydajności pracy o 0,6 proc. (Sb)

PRZEWOZY

W październiku br. w porównaniu z październikiem ubr. przewozy ładunków transportem kolejowym spadły o ok. 4,5 proc., a transportem samochodowym o ponad 8 proc. Głównym czynnikiem obniżającym poziom przewozów był brak masy towarowej do przewozu, a nie brak zdolności przewozowych. Niższe niż przed rokiem było zwłaszcza zapotrzebowanie na przewóz węgla i ziemniaków, a zwłaszcza ziemniaków i buraków cukrowych.

Mimo ogólnego obniżenia zapotrzebowania na przewozy nadal notowano przypadki zahamowań w realizacji niektórych zadań przewozowych. Nadal bardzo ważne jest więc niezwłoczne rozładowywanie wagonów nadchodzących ze stacji przeznaczenia oraz ich załadowywanie. Tymczasem w październiku br. liczba wagonów przetrzymywanych ponad czas wolny od kar umownych wzrosła aż o ponad 20 proc. powyżej poziomu z października ub. r. (Sb)

PRODUKCJA HUTNICZA

Wśród ważniejszych wyrobów hutnictwa zwraca w br. uwagę spadek produkcji stali w porównaniu z analogicznym okresem ubr. wynoszący ok. 2 proc. we wrześniu i ponad

5 proc. w październiku. Podobne spadki zanotowano w produkcji wyrobów walcowanych (ponad 2 proc. we wrześniu i 6 proc. w październiku). Październik br. przyniósł też spadek produkcji międzyelektrolitycznej (o 4 procent poniżej ubr.), podczas gdy jeszcze we wrześniu była ona o ponad 11 proc. wyższa niż przed rokiem.

Wydatnie zwiększyła się październikowa produkcja cynku (o ok. 25 procent powyżej października ubr.) i ołowiu (o 19 proc. powyżej ubr.). O ok. 6 proc. wzrosła ponadto produkcja aluminium. Październikowy wzrost produkcji ołowiu i aluminium nie wyrównał jednak jeszcze skutków obniżenia produkcji w poprzednich miesiącach i łącznie za 10 miesięcy br. jest ona nieco niższa niż w ub. r. (Sb)

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze zdarzył nam się „wypadek przy pracy”: w ostatniej fazie przygotowywania numeru do druku na kolumnie 8 końcówce cztery wiersze artykułu Józefa Oberskiego „Ceny w budownictwie” zostały przedstawione na początku artykułu Eugeniusza Możewskiego „Wycieczka do galerii prądownic”, z którego dwa wiersze przedwydawały z kolei do artykułu J. Oberskiego. Autorów i Czytelników przepraszamy za tą niezamierzoną łamiętką.

CUKROWNIA JEST — BURAKÓW NIE MA

JAN PIECHOTA

WYBUDOWANA kosztem ponad 2,6 mld złotych (wartość kosztorysu faktyczne koszty są znacznie wyższe) cukrownia w Ropczycach jesienią bieżącego roku rozpocznie drugą kampanię produkcyjną. W ubiegłym roku przerobiła niecałe 78 tys. ton buraków. Plan przerobu w bieżącym roku wynosi 315 tys. ton. Jego wykonanie zależne będzie w głównej mierze od podaży buraków cukrowych.

Cukrownia w Ropczycach jest największą i najnowocześniejszą cukrownią w kraju. Jej dobowy przerob, po dojeździe do pełnej zdolności produkcyjnej w 1982 r. wyniesie 6 tys. ton, a w ciągu całej kampanii przerabiał będzie blisko 500 tys. ton buraków, na 60,5 tys. ton cukru, 20 tys. ton melasy i 232 tys. ton wysłodków.

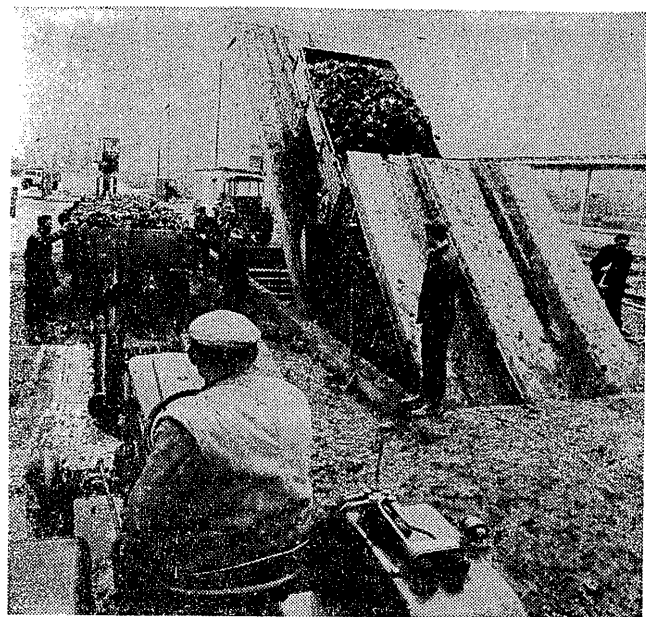
Nowoczesność cukrowni polega na wprowadzeniu po raz pierwszy w kraju technologii równoległej do produkcji cukru, oddzielania i magazynowania części soku gęstego, który jest przerabiany po zakończeniu kampanii surowcowej. Zastosowanie tej technologii pozwoliło na skrócenie okresu kampanii oraz efektywniejsze wykorzystanie instalowanych maszyn i urządzeń.

Za nowoczesnością tego zakładu przetwórczego nie podąża jednak odpowiednio zorganizowana baza surowcowa. W 4-letnim okresie (1975—1979) prowadzenia budowy nie ma żadnego postępu w produkcji buraków w województwie rzeszowskim, stanowiącym najbliższe naturalne zaplecze surowcowe.

W 1975 r. buraki cukrowe w tym województwie uprawiano na powierzchni 2965 ha, w 1976 r. — 2936 ha, zaś w 1979 r. jeszcze mniej, bo na obszarze 2836 ha. Plony w tych samych latach wynosiły odpowiednio: 266, 229 i 243 q z ha.

Czy lokalizacja tak dużej cukrowni w woj. rzeszowskim była trafna? Jakimi przesłankami się kierowano? W latach 1973—1975, kiedy podejmowano decyzję o budowie cukrowni w Ropczycach, w tej części kraju, która obejmowała dawne województwa: kielecki, krakowski, rzeszowski i lubelski, nadwyżka buraków cukrowych w skali rocznej wynosiła 319 tys. ton, z tego tylko 77 tys. ton na terenie byłego woj. rzeszowskiego. Uwzględniając fakt, że ówczesne województwo krakowskie, na terenie którego nie było cukrowni, pokrywało w znacznej mierze niedobór buraków w cukrowniach na terenie woj. katowickiego — faktyczna nadwyżka produkcji buraków cukrowych wynosiła tu tylko 248 tys. ton. Dla tej ilości buraków wystarczyłaby nowa cukrownia o połowę mniejsza niż ta, jaką wybudowano w Ropczycach.

Przemysł cukrowniczy przyjął dwie wielkości nowo wznoszonych



Fot. M. STANKIEWICZ

cukrowni — o przerobie około 4,8 tys. ton buraków na dobę, albo 6 tys. t. Dla południowo-wschodniej Polski, wystarczający cukrownia o przerobie dobowym 4,8 tys. ton, zlokalizowana na terenie obecnego województwa tarnobrzskiego, które przejęło główny ciężar produkcji buraków dla cukrowni Ropczyc. Obecnie zaś niektóre punkty skupu w woj. tarnobrzskim dziel 180 km od zakładu przetwórczego. Zwiększenie buraków cukrowych ze znacznych odległości do cukrowni nie wpływa korzystnie na opłacalność produkcji cukru. Na przykład w cukrowni w Łapach, oddanej do eksploatacji w 1974 r. koszt produkcji tony cukru w 1975 r. wynosił 19,5 tys. zł, a w 1976 roku — 20,0 tys. zł, podczas gdy w skali zjednoczenia wynosił w tych latach odpowiednio 12,2 i 14,8 tys. zł/tonę.

Lokalizując cukrownię w Ropczycach kierowano się, być może dogodnym położeniem kolejowym oraz tym, że w tym rejonie gleby są przydatne do uprawy buraków cukrowych, choć nie było tu większych tradycji w tej uprawie. Aby więc koszty eksploatacji nowej cukrowni były możliwie najniższe, powinno się jak najwięcej buraków produkować na terenie obecnego woj. rzeszowskiego po to, by uniknąć kosztownego transportu zarówno buraków, jak i wysłodków.

Województwo rzeszowskie pod względem przydatności rolniczej gleb zajmuje dziesiąte miejsce w kraju.

Buraki cukrowe, jak wiadomo, wymagają gleb bardzo dobrych i dobrych. Dla uproszczenia można przyjąć, że pod buraki cukrowe nadają się gleby gruntów ornych w klasach bonitacyjnych I do IVa. Gleby takie stanowią 57,6 proc. gruntów ornych województwa oraz 76,2 proc. gruntów ornych 17 gmin przewidzianych do rozwoju produkcji buraków cukrowych. Jednakże trzeba uwzględnić fakt, że uprawa buraków cukrowych może być prowadzona tylko w gospodarstwach większych, a zatem z tych bilansów trzeba wyliczyć grunty należące do gospodarstw najmniejszych. Szacunkowo więc potencjalny obszar gruntów nadających się do uprawy buraków cukrowych w 17 wyznaczonych gminach woj. rzeszowskiego wynosi 52,6 tys. ha. Przyjmując, że buraki cukrowe można uprawiać co 5 lat na tym samym polu, rejon uprawy w województwie pozwalał na zasiewy 10,5 tys. ha rocznie, a więc nawet 2,5-krotnie więcej niż się oczekuje.

W woj. rzeszowskim udział sektora upieczonego w użytkowaniu ziemi rolniczej jest niewielki. Na koniec czerwca 1979 r. gospodarstwa indywidualne województwa użytkowały 92,5 proc. ziemi. Podobny, niski odsetek upieczonej ziemi ma miejsce w całym zapleczu surowcowym cukrowni w Ropczycach. W związku z tym w całym zapleczu surowcowym głównym producentem buraków cukrowych ma być gospodarka chłopska, pokrywająca 80 proc. całkowitych potrzeb surowcowych.

Mimo pozornie wysokich zasobów siły roboczej w woj. rzeszowskim, bo przekraczających 48 osób pracujących na 100 ha użytków rolnych w gospodarstwach prowadzących uprawę buraków i ponad 46 osób w gospodarstwach pozostałych — blisko połowa rolników odpowiadających na ankietę IER stwierdza, że czynnikami hamującymi podjęcie bądź też wzrost uprawy buraków cukrowych jest brak siły roboczej w gospodarstwie. Wynika to z braku zmechanizowania prac rolniczych w gospodarstwach chłopskich oraz z faktu, że znaczny odsetek wśród rolników stanowią ludzie w podeszłym wieku, a więc niezdolni już do ciężkiej pracy fizycznej. W 85 proc. badanych gospodarstw uprawiających buraki cukrowe roztrząsa się obornik przy użyciu widel, zaś w 93 proc. ręcznie ogławia buraki, w 28 proc. gospodarstw ręcznie wyrwa korzenie.

Jednym z istotnych warunków podjęcia i prowadzenia przez rolników uprawy jest jej opłacalność. Na pytanie w badaniach ankietowych IER, czy uprawa buraków cukrowych w relacjach cenowych z 1979 r. była opłacalna i w jakim stopniu, ponad 61 proc. respondentów stwierdziło, że była mało opłacalna, tylko 29 proc. rolników określiło uprawę buraków cukrowych jako opłacalną, a zaledwie 3 proc. jako bardzo opłacalną. Również dość sceptycznie rolnicy wypowiedzieli się na pytanie czy podwyżka cen skupu do 140 zł za 1 q od jesieni br. zapewni opłacalność. Tylko 38 proc. ogółu respondentów odpowiedziało twierdząco, 49 proc. było przeciwnego zdania. Najważniejsze jest jednak stanowisko rolników kontrahentów cukrowni. Blisko połowa ich uważa, że podwyżka cen skupu zapewni opłacalność, wobec czego prawie 44 proc. plantatorów chce zwiększyć w ciągu najbliższych trzech lat uprawę buraków cukrowych. Natomiast wśród rolników, nie prowadzących aktualnie uprawy buraków podejmują ją — w wyniku podwyżki cen — tylko 7 proc. respondentów.

Na podstawie tych wyliczeń dokonano szacunku jakiego wzrostu powierzchni pod burakami cukrowymi należy się spodziewać w wyniku podwyżki cen skupu. Zadeklarowany został przyrost powierzchni uprawy buraków cukrowych który pozwoliłby tylko w 70 proc. zrealizować plany wzrostu powierzchni uprawy buraków w województwie rzeszowskim.

Z wypowiedzi większości rolników wynika, że najistotniejszym czynnikiem hamującym rozwój uprawy buraków cukrowych w woj. rzeszowskim jest brak wystarczającej ilości sprzętu technicznego, rekompensującego zmniejszające się zasoby siły roboczej w gospodarstwach indywidualnych.

Podzielone są opinie rolników na temat kto ma być wykonawcą usług mechanicznych dla plantatorów. Blisko połowa uważa, że może nim być w dalszym ciągu SKR. Istotną sprawą jest to, aby podstawowy sprzęt techniczny taki jak: ciągniki, przyczepy, rozrzutniki do obornika, siewniki do buraków i wyorywacz były w gospodarstwach bądź w zespołach uprawy buraków.

Postępująca mechanizacja musi iść w parze z poprawą obszaru gospodarstw oraz doskonaleniem jego rologu. Korzystną przesłanką jest chęć powiększenia gospodarstw (opinia 30 proc. rolników z gospodarstw większych, o powierzchni powyżej 5 ha).

Zasadniczy postęp produkcji buraków cukrowych na terenie woj. rzeszowskiego nie będzie możliwy bez aktywnego udziału samej cukrowni. Cukrownia musi stać się faktycznym organizatorem uprawy buraków w gospodarstwach indywidualnych.

W SEJMIE

RYBY MAJĄ GŁOS

ANDRZEJ NAŁĘCZ-JAWECKI

MINISTERSTWO Handlu Zagranicznego i Gospodarki Morskiej przedstawiło 13 listopada w Sejmie prawie stustronicowe opracowanie na temat przyszłości (do 1985 i 1990 r.) całej branży rybnej — od połowów do dystrybucji. Po słowie cierpko przyjęli ten materiał, określając wręcz, iż był to dokument pisany jako uzasadnienie żądań branży. Istotnie, chce ona dużych miliardów na inwestycje, modernizację i bieżące potrzeby. A tymczasem...

Jeden z mówców ujawnił, że niektóre połowy kosztują dwa razy więcej złotych dewizowych, niż trzeba byłoby zapłacić za import ryb konsumpcyjnych, nadających się wprost do sprzedaży. A więc czy łożąc dalej pieniądze na rozwój rybołówstwa, czy po prostu importować ryby? Jeśli zainwestujemy, to czy nie będzie tak, jak z Fabryką Białka Zwierzęcego w Trójmieście — kosztowała nas 400 mln złotych. Razem pieniądze w bloku — teraz szuka się chętnych na kupienie urządzeń wartości stu milionów złotych i chętnych w kraju nie ma.

Wystąpiły kolejne kłopoty z rybołówstwem dalekomorskim. Albo nas nie chcą wpuszczać na łowiska, albo żądają wysokich opłat. Więc czy inwestować? Na ten temat nie przedstawiono posłom analiz.

Wobec kłopotów z dalekomorskim rybołówstwem nabiera szczególnego znaczenia program połowów na Bałtyku. Nikt w tej sprawie nie mógł zabrać głosu i coś wiążącego przedstawić. Do tego ogranicza kwestia dotycząca polityki branżowej.

Ala z tej niewesołej sytuacji płynie jeszcze jeden wniosek praktyczny — przestańmy wreszcie odwracać się plecami od ryb słodkowodnych. Dostarczono ich na rynek w ub. roku — 23 tys. ton, w br. — najwyżej 21 tys. ton. Program przewiduje wzrost w 1985 roku — do 25 tys. ton, zaś w 1990 roku — 30 tys. ton. Są to zamierzenia absolutnie nie do przyjęcia — rynek oczekuje na lecącą się intensyfikację hodowli i dostaw ryb słodkowodnych, poszukiwanych przez konsumentów.

Z programu branży wypisują kolejne dane. Ogółem ryb na rynek — świeże, marynaty, wędzone, konserwy, fillety — dostarczono w ub. roku — 254 tys. ton, w br. trafi ich 265 tys. ton. Program przewiduje na 1985 rok — 300 tys. ton, na 1990 rok — 320 tys. ton. I znów są to wielkości nie do przyjęcia z dwóch względów. Po pierwsze — spożywcze ryby jest w Polsce niska, a w niektórych regionach wynosi tylko 3—4 kg na jednego mieszkańca. Po drugie — jest dla tych wszystkich, którzy nie przepadają za rybami, substytutem mięsa. Ryby stanowią więc ważny element całego kompleksu żywnościowego.

Faktem jest, że branża należy do nielicznych, gdzie nie zanotowano w ostatnich latach regresu. Przedstawiciel Zjednoczenia Gospodarki Rybnej z satysfakcją podkreślił, że po 10 miesiącach br. dostawa na rynek wyniosła 211,1 tys. ton, zaś plan opiewał tylko na 199 tys. ton. Plany połowów przetworzone o 12 proc. Byłoby to godne aplauzu, gdybyśmy zauważyli ten wzrost w sklepach i na naszych stołach. Ale...

Najbardziej poszukiwane są ryby świeże. Otrzymuje ich „Centrala Rybna” prawie 80 proc., zaś do konsumenta trafia zaledwie 10 procent ryb w postaci świeżej. A więc mała ma rynek satysfakcję. Jeden z posłów zwrócił uwagę, że całe przetwórstwo powinno grać tylko rolę warty bezpieczeństwa, na wypadek zagrożenia, że ryby świeże mogą się zepsuć. W puszkach powinniśmy pakować też ryby np. w słojej kiełki połowów. Myśli jest chyba godna uwagi — jeśli tak, to powinniśmy inwestować w cały łańcuch chłodniczy, a nie w zakłady przetwórcze. Na marginesie — ujawniono i to — ryby tracą w przetworach od 50—80 proc. witamin.

Z programu branży wypisują kolejne dane — w 1979 roku dostarczono 66,7 tys. ton ryb świeżych i mrożonych, w br. trafi ich na rynek 72,5 tys. ton. Ale na 1985 i 1990 — przewiduje się już tylko po 55 tys. ton. Dlaczego odwracać się od ryb świeżych, skoro ich rynek chce? I znów jest to dygresja pod adresem planu inwestycyjnego ułożonego przez branżę.

Zwrócono też uwagę, że choć połowy ryb dalekomorskich są spore i nawet wstępują, to jednak nie o te ryby chodzi. Ważny jest też asortyment dostaw. Przedstawiciel NIK, dyr. Kosiński, zwrócił uwagę, że kilka lat temu około 26 proc. ryb dalekomorskich stanowiły gatunki poszukiwane, zaś w ub. roku tylko 8,3 proc.

Kolejna sprawa — jakość. Branża ma prawo do oznaczania znakiem jakości zaledwie 1 proc. swoich wyrobów. PIH, kontrolując w ub. roku jej gospodarkę zakwestionował 30 proc. badanych partii konserw i 32 proc. marynat. Ponad 8 proc. badanych wyrobów nie dopuszczono

do sprzedaży. Czy nie jest to odpowiedź na pytanie, jak zwiększyć efekt rynkowy całej branży?

Rzekło się, że połowy są względnie dobre. Ale też wspomnieli, że ostatnio branża pobila też rekord w przekroczeniu planu produkcji... mączki rybnej. W 1979 roku co czwarta złowiona ryba szła na mączkę, w br. roku plan przekroczone już o blisko 16 tys. ton. Owszem, mączka rybna jest potrzebna, ale bardziej przyda się ryba w sklepach.

Krytykowali posłowie zaduże zapasy ryb i przetworów. Na początku 1980 roku wynosiły one aż 44 tys. ton. Dlaczego nie dotarli sukcesywnie do sklepów? Różni inspektorzy stwierdzają obrót rybami przeterminowanymi. Było ich — a wszak nie kontrolowano wszystkich partii — 5900 ton. Znow na... mączkę! Ba, ujawniono, że ok. 50 proc. ryb ze statków dalekomorskich dociera do kraju na pograniczu okresu przeterminowania.

Mocną więc stwierdza, że zapobieżenie powyższemu faktem leży w sferze organizacyjnej, wymagającej co najwyżej stosunkowo drobnych nakładów rzeczowych. Od lat tłumaczy się branżą, że podstawowym kłopotem jest brak chłodziń. A oto okazuje się, że istniejący już potencjał chłodziń był wykorzystywany zaledwie w 63—70 procentach. Na ten zarzut przedstawiciele ZGR dawali mało przekonujące usprawiedliwienia.

Skoro już jesteśmy przy łańcuchu chłodziń — co ciota na przeszkodzie, by do pociągów ekspresowych dołączyć wagon z rybami i w ten sposób dostarczać je w głąb kraju? Ba, nie ma podobno wagonów-chłodziń. Branża domaga się zakupu 60 wagonów P-641 z zagranicy. A przecież niecały rok temu — właśnie na Wajskiej — słyszałem jak przedstawiciel Ministerstwa Komunikacji chwalił się, że wreszcie przestano w Polsce produkować wagony chłodziń, i że do 1983 roku uwinął się kolej w ogóle od tych wagonów. Biedne koło!

Jeden z posłów przekazał wnioski ze spotkania rybaków indywidualnych i spółdzielczych w Jastarni. Właśnie firmy ZGR chcą rybakom po 4 dni czekać że świeża ryba na tzw. akł klasyfikacji. Nie dostarcza się ryb do prywatnych stożalni. Jak.

Ważny sprawę transportu samochodowego, z którym są usławienie kłopoty. Wprowadzono system akwizycyjny. Prywatny akwizytor bierze samochód ryb i sam już się marwi o ich sprzedaż. Jakos nie narzeka na brak części, przestaje wozu, itd. Mimo, że zdala ta forma egzaminu, resort nie wyraża zgody na wzrost liczb akwizytorów. Dlaczego? Tylko 60 zakładów rzemieślniczych para się w kraju przetworstwem ryb (m.in. wędzeniem) i ryb nie marnują — dlaczego ich nie popieramy?

A o kolejna sprawa, którą można byłoby chyba szybko zalać. O to w ub. roku dostarczono do sklepów 29,5 tys. ton ryb solonych, w br. — tylko 25 tys. W programie ustala się, że w 1985 i 1990 — docieć będzie ich tylko 30 tys. ton. Ludzie chcą je kupować. ZGR twierdzi, że mogłoby dostarczać solonej więcej, gdyby były bezzłoty drewniane. Podobno trzeba rocznie 200 tys. nowych beczek. Zastanawiamy się — czy jest to opakoowanie jednorazowego użytku? Ryboby dobrze, gdyby branża ujawniała, ile beczek się marnuje oraz jak zorganizowano ich rotację i konserwację.

Marynat też na rynek nie może trafić tyle. Nie można byłoby dostarczyć. Brakuje sło — na 1981 rok potrzeba 60 mln sło. Zwrócimy uwagę, że słoje robi się z piasku, krajowego! Mamy hurt „Jarosław”. Słoje potrzebują też inne branża. Ale np. mniej ich się obecnie zużywa do dżemów, na produkcję których brakuje cukru. A więc może takieś „pożyczki” między przemysłami mogłyby sytuację poprawić. I trzeba dostrzegać takie sprawy od ręki.

Ktoś na sali zwrócił uwagę, że przy systemie kartek na mięso, do gastronomii trafił mniej mięsa. Więc bary i restauracje powinny mieć coś w zamian — właśnie ryby.

Tego typu spraw poruszono w Sejmie dosłownie dziesiątki. Okazało się, że i w tej branży potrzebne są generalne porządki. Robienia ich wcale nie musimy kojarzyć tylko z inwestycjami. Wiele spraw można unormować na drodze rzeczowej i energicznej poprawy organizacji. Bądźmy sprawiedliwi — nie dotyczy to tylko samej branży, ale też handlu, gastronomii, przemysłów zaopatrujących przemysł rybny, transportu, itd. Niektóre są to sprawy trudne do załatwienia od ręki. Ale też wykazano, iż sporo jest takich, które można załatwić od ręki. Wszak paradoksem jest w obecnej sytuacji rynkowej, gdy wielu produktów spożywczych w ogóle nie ma, że ryby są, ale nie potrafimy ich rozprzedać i przetworzyć, że tyle ich marnuje się po drodze na stoł konsumenta.

REANIMACJA

SPÓŁDZIELCZOŚĆ mleczarska powróciła do dawnego kształtu organizacyjnego sprzed niesławnej pamięci „integracji” dokonanej w 1976 r. Połączono wówczas trzy organizacje spółdzielcze (ogrodniczo-przedszkarska, mleczarska i zaopatrzenia i żywności) pod wspólnym kierownictwem. Większość działaczy spółdzielczych nigdy jednak nie zaakceptowała tej błędnej decyzji i jak tylko stało się możliwe reaktywowała działalność okręgowych spółdzielni mleczarskich.

Na założycielskim zjeździe Centralnego Związku Spółdzielni Mleczarskich (Z.Z.M.) przyjęto statut, wybrano nowe władze oraz określono kierunki rozwoju tej organizacji. Przewiduje się, że w całym kraju będzie ogółem 315—320 okręgowych spółdzielni mleczarskich, które przedsięwzięcia będą swoją działalnością po 5—7 gmin, skupiać około 4 tys. członków i przerabiać średnio po około 33 mln litrów mleka.

Nie będą wymienianymi wszystkich obowiązków, które przyjął na siebie spółdzielczość mleczarska, ale chcę wspomnieć o dwóch sprawach, decydujących obecnie o produkcji mleka. Pierwsze zadanie, to zrobienie wszystkiego co jest możliwe, aby powiększyć, albo choćby utrzymać, pogłowie krów. Jest wiele przyczyn, które skłaniają rolników do wycofywania się z produkcji mleka. Mimo że są u nas naturalne warunki (dużo łąk i pastwisk, umiarkowany klimat), aby była to czołowa gałąź rolnictwa, pogłowie krów zmniejsza się systematycznie.

Działacze spółdzielczy reprezentujący interesy producentów twierdzą, że jest to efekt niedocenia

dukcji mleka. Mimo dopłat z budżetu państwa, ceny skupu mleka nie zapewniały opłacalności tej produkcji. Brakowało i nadal brakuje podstawowych środków produkcji: nawozów do zasilania łąk i pastwisk, narzędzi do zbioru i konserwacji pasz, doarek mechanicznych i chłodziarek, środków dezynfekcyjnych itd. Rolnicy nie mogą kupić materiałów do modernizacji i rozbudowy obór.

Utrzymujące się rozdrobnienie produkcji jest przyczyną wysokich jej kosztów oraz niskiej jakości surowca. Pewną szansę na poprawę sytuacji stwarza istnienie grupy rolników (550 tys. gospodarstw), którzy zawarli ze spółdzielniami wieloletnie umowy na dostawę mleka. W gospodarstwach tych przeciętna liczba krów wynosi 4. Dostarczają one około 60 proc. mleka kupowanego w indywidualnym sektorze rolnictwa. Udzielenie im realnej pomocy powinno prowadzić do stopniowego unowocześnienia i specjalizacji produkcji.

Drugi, podstawowy problem to zwiększenie możliwości przetworstwa w przemyśle mleczarskim. Inwestycje realizowane w ciągu ostatnich 5 lat zwiększyły co prawda zdolności przerobowe (o 2 mld litrów mleka), ale nie doprowadziły do wyrównania dysproporcji — całkowite zdolności przetwórcze szacuje się na 9,3 mld litrów, a skup wynosił około 10 mld litrów. W wielu województwach te dysproporcje są znacznie głębsze, co uniemożliwia wykorzystanie całego kupionego mleka do produkcji artykułów spożywczych.

Nowe władze spółdzielczości proponują zmianę orientacji w polityce produkcyjnej i inwestycyjnej. W przyszłości chcą przyznać priorytet wyrobom białkowym i na ten cel przeznaczyć potrzebną ilość tuszczu mlecznego, a dopiero resztę na masło. Wychodzą z założenia, że pozwoli to na zmniejszenie deficytu białka zwierzęcego, aczkolwiek w trudniejszych latach trzeba będzie, być może uzupełniać krajową produkcję masła importem.

Przetwarzanie większych ilości białka na cele spożywcze poprawiło by bardzo sytuację rynkową. Ogromny nacisk na dostawy masła w ostatnich latach (którym zastępuje się obecnie inne tuszcze) zmuszał do zmniejszenia ilości tuszczu w wyrobie białkowych i ograniczenie ich produkcji. Rezultaty są połowiczne. Masła wytwarzano więcej, ale i tak trzeba je importować. Natomiast pogorszyła się bardzo jakość innych przetworów, które pozbawione tuszczu są nietrwałe i niesmaczne. Poza tym np. wzrost dostaw twarogów chudych spowodował dodatkowy ogromny zapotrzebowanie na śmietanę.

Aby dokonać tej reorientacji, nie będzie można poprzestać na wykonaniu już planowanych inwestycji (w obecnym pięcioletnim będą one wykonane tylko w 81,5 proc.), ale trzeba będzie znacznie zwiększyć ich zakres, a kierunek dostosować do potrzeb rynku. Zwraca się przy tym uwagę na rolę jaką może odegrać ponowne uruchomienie przerobu mleka w małych zakładach, których część dawniej przekształcono w magazyny lub punkty skupu. Planuje się również budowę 58 małych przetwórców ze środków przeznaczonych na rozwój przemysłu rolno-spożywczego w gminach.

Reaktywowana spółdzielczość mleczarska zaczyna swoją działal-

ność w bardzo trudnym okresie. Zródłem wszystkich kłopotów jest gwałtowny spadek skupu mleka do poziomu sprzed 4 lat. Potem zaczęło zabrakowanie rynku na płynne przetwory mleczarskie i twarogi wzrosło od tego czasu o 60 proc., więc codziennie brakuje około 4 mln litrów mleka (skup wynosi 19—20 mln litrów dziennie). Prawie wszystkie co się obecnie kupuje (80—95 proc.) trzeba przetworzyć na mleko spożywcze i twarogi. Wydużyły się trasy przewozu mleka przeznaczonego dla największych miast. Z wyjątkiem mleczarni w makroregionie północno-wschodnim, wszystkie inne uczestniczą w zaopatrywaniu ośrodków miejskich („przerzuty” mleka i twarogów). W pełne, potrzebne ilości surowca zaopatruje się wytwórnie mleka w proszku dla niemowląt. Produkcja innych artykułów została wstrzymana albo znacznie ograniczona.

Pociągnięto za sobą dalsze komplikacje na rynku. Zaczyna już brakować serów dojrzewających i to-pionych. Podobna sytuacja będzie w ciągu I kwartału, z tym, że spodziewany jest dalszy import. Ograniczone będą dostawy mleka skondensowanego (tylko z zapasów), którego produkcję wstrzymano. Dostawy masła również nie pokrywają potrzeb. Corocznie zmniejszona produkcja w okresie zimny uzupełniana jest zapasami, zgromadzonymi latem i jesienią. W tym roku nie udało się stworzyć takich rezerw, a bieżąca produkcja tym bardziej (zwłaszcza wobec spadku skupu) nie pokrywa potrzeb. W najbliższych miesiącach należy spodziewać się dalszego obniżenia produkcji masła (w porównaniu z poziomem roku ubiegłego). Przewidywany import ma umożliwić utrzymanie dostaw na poziomie sprzed roku.

(M. MAK.)

W MIEŚCIE JAK NA WSI

STEFAN ANCEREWICZ

Z ogromnym zainteresowaniem, ale równocześnie rosnącym niepokojem słuchałem mini-strę zdrowia i opieki społecznej Mariana Sliwińskiego, kiedy przedstawiał sejmowej Komisji Zdrowia i Kultury Fizycznej zasadniczy kształt planowanych na rok następny działań. Gdybym mógł zamknąć oczy i zapomnieć o miejscu i czasie byłbym przekonany, że mówi szef służby zdrowia kraju, jeśli nie mlekiem i miodem płynącego, to w każdym razie zasobnego, gdzie nie ma problemu środków materialnych, lożnych na służbę zdrowia, a sposoby ich wykorzystania dotychczas w pełni zdawały egzamin w praktyce. Słowa: „poprawi się”, „zwiększy się liczba”, „zintensyfikujemy”, „polepszy się obsada” itp. padały bardzo często i w odniesieniu do różnych dziedzin medycznego działania.

W całym wystąpieniu nie znalazło się jednak wyjaśnienie, w jaki sposób resort zamierza swe zamierzenia zrealizować, skoro, jak dotąd, w wyniku wszystkich jego starań mamy taką służbę zdrowia, jaką mamy.

Każdy, kto otarł się o służbę zdrowia wie przecież, że w obecnej sytuacji kraju nawet przeznaczenie maksymalnej na jaką nas stać puli środków materialnych: pieniędzy, materiałów i wykonawstwa na wszystkie bez wyboru działy nie poprawi w sposób odczuwalny opieki medycznej. Tu potrzebna jest przede wszystkim pełna koncentracja działań i środków na wzmożenie i rozwój lecznictwa podstawowego.

O sprawach tego działu społecznej służby zdrowia pisałem kilkakrotnie (w bieżącym roku*). Nie będę więc powtarzał znanej argumentacji wynikającej głównie z przesłanki, iż poprawa na tym odcinku jest przez społeczeństwo najbardziej oczekiwana.

Ruchy rzeczywiste i pozorne

Czas już rozstrząsać zakłętą krag sporządzania raportów i pięknie brzmiących programów, w których optymistyczne wizje służby zdrowia nie wiele miały wspólnego ze zgrzebaną rzeczywistością. To nie znaczy, że można działać bez planu, ale zamierzenia muszą być mocno osadzone w realiach, przykrojone na miarę potrzeb i możliwości, przede wszystkim konsekwentnie wcielane w życie. W przeszłości nie zawsze tak bywało, czego znakomitym przykładem może być rozwój wiejskiej służby zdrowia w ostatnim dziesięcioleciu, pouczający również z uwagi na to, że stanowi ona około połowy lecznictwa podstawowego w środowisku zamieszkania w kraju.

Kiedy od początku 1973 r. przyznano ludności wiejskiej prawo do bezpłatnej opieki lekarskiej równoległe podjęto inne ważne decyzje. Społeczna służba zdrowia przejęła dotychczasowe spółdzielcze ośrodki zdrowia, zważywszy tempem ruszyła budowa nowych ośrodków, pracownikom medycznym na wsi przyznano liczące się w dochodach dodatki pieniężne, lekarze wiejscy bez większych kłopotów mogli kupować samochody, a za ich używanie w celach służbowych dostawali odpowiednie przydatki. I rzecz niesłychanie ważna — przy budowie nowych placówek wiejskiej służby zdrowia myślało też o mieszkaniach dla personelu.

Na efekty nie trzeba było długo czekać — liczba wiejskich ośrodków zdrowia rosła dość szybko, jeszcze szybciej zaczęło przybywać chętnych do pracy na wsi — do połowy lat siedemdziesiątych nie było problemów z obsadą wiejskich placówek, które zatrudniały zwykle lekarza medycyny i stomatologa oraz dwie — trzy osoby średniego personelu.

Tymczasem jednak przeprowadzono podwyżkę i zmianę systemu płac w służbie zdrowia i dodatki wiejskie przestały być konkurencyjne, praktycznej likwidacji uległy przydziały samochodów dla lekarzy na wsi, zaczęły się kłopoty z mieszkaniem, tempo budowy ośrodków zdrowia wyraźnie spadło. Sprzężenie zwrotne znów dało znać o sobie nie tylko malejącą liczbą nowych placówek — ale również najpierw stagnacją, a później nieznaczny, ale jednak, odpływem kadr i kłopotami z obsadą w nowych ośrodkach.

Jednocześnie resort zdrowia wystąpił z nowym programem rozwoju wiejskiej służby zdrowia: podnosimy jakość opieki zdrowotnej, organizując gminne ośrodki zdrowia. W każdej gminie miała powstać taka placówka, zatrudniająca jednego lub dwóch lekarzy ogólnych, pediatrę, ginekologa i stomatologa, kilka pielęgniarek — również środowiskowych — i co najmniej jednego asystenta socjalnego zajmującego się zawodowo opieką społeczną. Minęło kilka lat i oto dzisiaj w przeszło 30 proc. gmin nie nazwano nawet ośrodka zdrowia gminnym, w pozostałych szłyby wprawdzie, ale więcej niż połowa gminnych z nazwy ośrodków zatrudnia nadal jednego lekarza. To prawda, że w GOZ jest mniej wakatów lekarskich i w sporej ich części pracuje dwóch lekarzy, ale z kolei mają one pod opieką z reguły znacznie rozleglejszy teren i liczną, zatrudnioną rejonową

lecznicą. Nie wiem, czy sztyt i nawet dwuosobowa obsada lekarska może być w tych warunkach zamianą postępu.

Lecznictwo podstawowe w miastach nie doczekało się nawet ruchów pozornych. Tu tylko powtarzano slogan o ogromnej randze lekarza rejonowego, ale nawet papierowy program dla lecznictwa podstawowego, mimo kilka lat trwających prac, nie doczekał się dotąd w resorcie ostatecznej redakcji. Lekarzy rejonowych nadal brakuje (nawet w Warszawie jest stale kilkadziesiąt wakatów), a ci, którzy są, pracują jak urzędnicy. W gabinetach przyjmują w godzinach od-do, potem wizyty domowe i na resztę dnia mogą zapomnieć o podopiecznych. Przy stałych kolejkach w poczekalniach (patrz wakaty) zamieniają się często w rozdzielaczy skierowań, a kiedy chory dostanie się do specjalisty nikt nie swemu rejonowemu opiekunowi z oczu. Miejscy lekarze rejonowi i ich koledzy z wiejskich ośrodków kroczą na końcu medycznego orszaku, nie dziwnego więc, że na te stanowiska trafiają najczęściej młodzi adepci medycyny. Taki stan rzeczy niesie ujemne konsekwencje nie tylko dla pacjentów, ale również dla całej służby zdrowia, gdyż szpitale i lecznictwo specjalistyczne muszą dziś przejmować na siebie część zadań niewygodnej opieki podstawowej.

Próby zmian w istniejącej sytuacji rodziły się z inicjatyw oddolnych, ale jak dotąd nie zapisały się trwałe w krajoznawstwo służby zdrowia. Eksperyment z powołaniem lekarzy osiedlowych w Warszawie umarł śmiercią naturalną, ostatnio odrodził się w Lublinie. Nie wiem, na ile pomysły ten spowodowany został brakiem przychodni w nowych osiedlach, chcę wierzyć, że jego autorom chodziło przede wszystkim o przybliżenie lekarza do pacjentów. W sensie politycznym to się udało, gdyż lekarze i pielęgniarki pracują w przetworzonych z mieszkań gabinetach rozrzuconych w osiedlu. Ich praca jednak — wyjąwszy fakt, że godziny przyjęć przedziela około południowa przerwa na wizyty domowe oraz, iż mają dużo żywy niż zazwyczaj kontakt zawodowy z pacjentami — tkwi nadal w starych, usztywnionych formach i nie różni się od pracy innych lekarzy rejonowych — co powtarzam za samymi zainteresowanymi.

Trzeba zrozumieć i chcieć

Z badań Instytutu Medycyny Pracy i Higieny Wsi w Lublinie wynika, że ośrodki zdrowia znajdujące się bliżej miast i szpitale są podobne strukturą zatrudnienia i sposobem funkcjonowania do przychodni rejonowych typu miejskiego. Zaś im dalej od miast, tym częściej znajdujemy placówki o charakterze tradycyjnej wiejskiej. Te dwa typy ośrodków różnią się tym od siebie, że im bliżej miast, tym częściej lekarz nie mieszka w rejonie, tylko część godzin dziennego zatrudnienia

przeznacza na pracę w ośrodku, częściej jest specjalistą lub specjalizującym się nierzadko w wąskiej specjalności mniej przydatnej w podstawowej opiece zdrowotnej. Odwrotna sytuacja istnieje w rejonach bardziej oddalonych od miast, typowo wiejskich. Mamy tam do czynienia z lekarzem z reguły bardziej dopasowanym do potrzeb podopiecznych, silniej z nimi związanym, a tym samym lepiej zaspokajającym potrzeby i oczekiwania ludności. Opieka medyczna silnie oparta na wiedzy społecznej — co należy również rozumieć jako większe uzależnienie od opinii pacjentów — jaka obecnie przetrwała jeszcze częściowo na terenach typowo wiejskich — wykazuje pewne przewagi w stosunku do opieki podstawowej opartej na wiedzy administracyjnej.

Z wyników badań Instytutu nie trudno o wniosek, iż z wymienionych wyżej powodów lepszy jest typ ośrodka nazwany tradycyjnie wiejskim. Pracować w nim powinno dwóch lekarzy ogólnych wzajemnie się zastępujących w razie potrzeby, z tym, że w normalnej pracy jeden z nich byłby wyraźnie ukierunkowany na opiekę nad dziećmi. Liczebność podopiecznych rejonu ośrodka nie może jednak znacznie przekraczać 4 tys. osób, gdyż powyżej tej liczby trudno prowadzić niezbędne badania profilaktyczne.

Lekarze ci w moim przekonaniu musieliby przyjąć całodobową odpowiedzialność za pomoc chorym w niecierpliwych zwłoki przypadkach. Tak zresztą w dobrze pracujących wiejskich ośrodkach zdrowia jest dzisiaj, co potwierdził mi ostatni pobyt w zamkniętym, z którego przyciętą tylko dwa przykłady.

Wiejski Ośrodek Zdrowia w Starym Zamościu od stolicy województwa dzieli kilkanaście kilometrów dobrej drogi z dogodną komunikacją autobusową. Fatalne warunki lokalowe mogące pominąć, bo budynek nowego ośrodka z mieszkaniem dla pracowników powinien być w najbliższych miesiącach oddany do użytku. Ważna jest obsada — stomatolog i lekarz ogólny plus dwie pielęgniarki — i styl pracy ośrodka. Dr Janusz Rejman dojeżdża z Zamościa na przedpołudniowe przyjęcia pacjentów na miejscu, potem ewentualne wizyty domowe i powrót do domu. Z wizytami jest zresztą kłopot: rejon rozległy, boczne drogi — delikatnie mówiąc — nie najlepsze, a ośrodek nie dysponuje służbowym środkiem lokomocji na co dzień.

W efekcie podopieczni starożytności ośrodka mogą liczyć na pomoc lekarską tylko w godzinach przedpołudniowych i to raczej na miejscu, na resztę doby pozostaje pogotowie. Związanie lekarza z terenem najlepiej zaś ilustruje jego własne oświadczenie, że nawet po wybudowaniu nowego obiektu nie skorzysta z oferty mieszkaniowej, raczej zrezygnuje z pracy, jeśli jej kontynuowanie byłoby warunkowane zamieszaniem na miejscu.

Do gminnego Ośrodka Zdrowia w Suścu trzeba z Zamościa jechać go-

dziń i to dość szybko, samochodem. Najbliższe miasto to Tomaszów Lubelski położony w odległości około 20 km. Ośrodek wzorcowy — nowy budynek z apteką i wygodnymi mieszkaniem — pracuje w nim stale lekarz ogólny, pediatra i stomatolog, dojeżdża ginekolog. Jest też pięć pielęgniarek i dwóch zawodowych pracowników socjalnych. Ale i liczba podopiecznych spora, bo chorzy nie bardzo kwapią się do korzystania z opieki drugiego na terenie gminy ośrodka w Majdanie i ciąga wyrażnie ku Suścowi. Można ją więc ocenić na około 9 tys. w tym mniej więcej jedna trzecia dzieci — w zimowe dni przez ośrodek przejeżdża się 150 pacjentów. Wizyt domowych bywa 6-7 dziennie, ale na miejscu jest stale do dyspozycji służbowa karetka.

Ośrodek jest nominalnie czynny do późnych godzin popołudniowych, lecz mieszkająca na miejscu lekarka-pediatra, która w razie potrzeby zastępuje lekarza ogólnego, spiesz chorem z pomocą również w godzinach pozasłużbowych. To do tego stopnia stało się tradycją, że przychodzący wieczorem po pomoc pacjenci potrafili zapewnić na czas wizyty opiekę dzieciom pani doktor, była tylko ona mogła pójść do choroego. Mocno tkwiący w środowisku lekarz musi przyjąć styl pracy — powiedział mi moja rozmówczyni, sama zresztą wywodząca się z Suśca. Pogotowie powinno zastępować do brego wiejskiego lekarza tylko wtedy, gdy choremu nie sposób udzielić pomocy na miejscu.

Wróćmy jeszcze na chwilę do opinii usłyszanych w Instytucie. Upodabnianie się części ośrodków zdrowia do sposobu funkcjonowania podstawowej opieki zdrowotnej w miastach trzeba uważać za przejaw niekorzystnych skutków urbanizacji wsi, z czego wynika postulat ulepszenia opieki w miastach i terenach podmiejskich przez jej „ruralizację”. Wydaje się po prostu, iż obserwujemy obecnie początki powrotu nowoczesnego społeczeństwa do niektórych dobrych właściwości starych rozwiązań.

Jak „ruralizować”?

Na wsi trzeba się chyba wycofać z koncepcji gminnych ośrodków zdrowia, co może przyjść tym łatwiej, że po 6 latach realizacji programu mamy w kraju pełnoprofilowych, gdy chodzi o zatrudnienie, GOZ za ledwie 98 (6,9 proc.). Całość sił i środków należy skoncentrować natomiast na tworzeniu gęstej sieci wiejskich ośrodków według modelu tradycyjnie wiejskiego. Poszedłbym we wnioskach dalej. Sądzę, że podobny sposób postępowania należy przenieść na miejski grunt, zaszczepiając go w obecnych przychodniach rejonowych. Zważając warto się zastanowić czy w nowych osiedlach nie należy tworzyć miejsc pracy dla lekarzy na zasadach przyjętych w lubelskim eksperymencie. Tylko zasady pracy i odpowiedzialności musiałby być inne, i znów powiem, identyczne jak na wsi.

To znaczy lekarzowi domowemu przydałaby się pomoc w wykonywaniu obowiązków w osobach pielęgniarce i asystentów socjalnych (ci ostatni w obsadzie oczywiście mniejszej niż 1:1) no i warsztat pracy, i odpowiednie mieszkanie z gabinetem i samochodem. Nie zawsze prywatny, kupiony od państwa na rozsądnych warunkach z odpowiednim limitem kilometrów, bo w miastach może służyć — jeden dla dwóch medycznych opiekunów. W Warszawie wypróbowano dość skutecznie pomysł przydzielenia przychodni rejonowym małym Flakom bez kierowców, ale jak dotąd nie oficjalnie na temat wyników tego eksperymentu nie wiadomo.

Lekarza domowego trzeba rzeczywiście uczynić centralną postacią lecznictwa nachylając ku niemu działalność wszystkich placówek służby zdrowia i ludzi w nich zatrudnionych. Nie chcę wdawać się w organizacyjne szczegóły, ale chciałbym tylko przypomnieć o instytucji zwanej konsylium lekarskim. Kiedy lekarz domowy miał kłopoty z ustaleniem diagnozy lub zaoordynowaniem kuracji, prosił do łóżka chorego jednego lub dwóch — bardziej doświadczonych i wyspecjalizowanych kolegów, a następnie wspólnie radzili nad najwłaściwszym sposobem postępowania przy czym moralnym szefem, a następnie prowadzącym leczenie był właśnie ten domowy opiekun. Dziś lekarzom rejonowym nawet do głowy nie przyjdzie zwołanie konsylium — bo jak mi to sami niejednokrotnie powiedzieli — specjalista lub specjalistka pomyśliby, że wzywający jest — mówiąc delikatnie — przemęczony nerwowo i psychicznie. To niewątpliwie signum temporis w funkcjonowaniu społecznej służby zdrowia, ale jest to bardzo niedobry znak.

Wreszcie sprawa wynagrodzeń, bardzo ważna mimo, że piszę o niej na końcu. Praca lekarza domowego w naszkicowanym wyżej kształcie byłaby nieopłacalna z pracą obecnego lekarza rejonowego. Z jednej strony odciałyby on bardzo poważnie pogotowie ratunkowe, szpitale i lecznictwo specjalistyczne, z drugiej jednak sam byłby obciążony w ogromnym stopniu i ponosił wielką odpowiedzialność. Jego płaca powinna się równać płacy ordynatora oddziału.

Powie ktoś — założmy, że wszystkie te propozycje zostaną zrealizowane; czy znajdziemy chętnych do pracy w charakterze lekarzy domowych i skąd oni przyjdą, bo chcemy przecież żeby byli to dobrzy, doświadczeni lekarze, a żadna placówka nie narzeka na nadmiar medyków. Sądzę, że mimo, iż praca lekarza będzie niełatwa, bardzo ważna i odpowiedzialna — a może po części właśnie dlatego — kandydatów do niej nie zabraknie.

Osobiście duże rezerwy kadrowe widziałbym wówczas w różnego rodzaju przyzakładowej i przemysłowej służbie zdrowia. To obrazoburcze na pierwszy rzut oka stwierdzenie w gruncie rzeczy wcale takim nie jest. Przemysłowa służba zdrowia powstała po to, by badać proces pracy pod kątem uciążliwości i zagrożeń zdrowotnych, a następnie skutecznie im przeciwdziałać, a leczyć powinna tylko choroby zawodowe. Rozbudowywalismy ją dotąd i roz-budowujemy nadal w nieuzupełnionym kierunku.

Od lat zarzutek numer 1 kierowanym pod adresem „przemysłowców” jest fakt, iż nie w pełni realizuje ona zadania zapobiegawcze zajmując się przede wszystkim leczeniem wszystkich schorzeń. Powiedzmy wprost — ponieważ leczenie w miejscu zamieszkania jest uciążliwe, a w niektórych przypadkach ogromnie utrudnione, zakłady pracy pozostają pod ciśnieniem żądań pracowników starają się zapewnić lepsze możliwości terapeutyczne w miejscu pracy, dysponując jeszcze po temu na ogół znacznie większymi niż społeczna służba zdrowia środkami finansowymi, i tak narosły nieprawdopodobności. Chcąc więc właśnie jak najlepiej dla zdrowia załóg pracowniczych uważam, że po zapewnieniu ludziom dobrej opieki medycznej w miejscu zamieszkania można by działalność przemysłowej służby zdrowia wprowadzić na właściwe tory i odpowiednio określić jej potencjał bez żadnej szkody dla robotników. Choruje się w końcu w domu, nie w fabryce.

Myślę też, że powstałby pewien ruch kadrowy w niektórych szpitalach i placówkach lecznictwa specjalistycznego, w których to zakładach mających również charakter szkoleniowy zrobiliby się miejsce dla młodych lekarzy, dziś trafiających na początek do rejonu. Migracja taka byłaby więc pożyteczna, a może okazywałaby się przy okazji, że tu i ówdzie mamy jednak przerosty zatrudnienia?

Wiem jedno, bez radykalnej zmiany spojrzenia nie osiągniemy zmian na lepsze w decydującym dla całej służby zdrowia lecznictwie podstawowym, a patrzeć trzeba tak, by dostrzec, że ludzie chcą i potrzebują lekarza domowego.

orzecznictwo

KTO ODPOWIADA ZA KRADZIEŻ MIENIA NA TERENIE BUDOWY

Z terenu budowy oczyszczalni wód balastowych w P. skradziono dwie pompy odwodnieniowe, należące do podwykonawcy robót ziemnych. W związku z tym podwykonawca domagał się od generalnego wykonawcy zapłaty kwoty 113 tys. zł tytułem odszkodowania za skradzione pompy. Sprawa znalazła się w Okręgowej Komisji Arbitrażowej, która dochodzącą należność zasądziła od generalnego wykonawcy.

Od orzeczenia OKA pozwany generalny wykonawca złożył odwołanie, zarzucając zaskarżonemu orzeczeniu naruszenie prawa, a w szczególności przepisu § 9 ust. 1 pkt. 1 ogólnych warunków umów o realizację inwestycji budowlanych oraz o wykonanie remontów budowlanych i instalacyjnych — o.w.r. (Monitor Polski 1974 r., nr 14, poz. 94), w szczególności co do zakresu odpowiedzialności generalnego wykonawcy z tytułu ochrony mienia na terenie budowy.

Główna Komisja Arbitrażowa orzekaniem z dnia 11 lipca 1979 r. nr IP-4126/79 oddalając generalnego wykonawcę oddaliła, wypowiadając równocześnie następujący pogląd prawny:

Generalny wykonawca ponosi odpowiedzialność odszkodowawczą za niewykonanie obowiązku ogólnej ochrony mienia na terenie budowy w tym także w razie kradzieży z tego terenu mienia podwykonawcy. W uzasadnieniu swego stanowiska GKA zaznacza m.in.:

„Pozwany podniósł w odwołaniu, że nie ponosi odpowiedzialności za zaniechanie obowiązku ogólnej ochrony mienia na terenie budowy, wobec pozostawienia przez podwykonawcę mienia na terenie budowy, bez zgody generalnego wykonawcy, w miejscu nie przeznaczonym na jego składowanie.

W niniejszym sporze zabór mienia dotyczy czynnego sprzętu budowlanego (agregaty odwadniające). O miejscu pracy tego sprzętu pozwany generalny wykonawca jako koordynator robót na budowie stosownie do dyspozycji § 5 ust. 1 pkt 4 lit. „c” o.w.r. powinien wiedzieć. Generalny wykonawca zobowiązany był także w ramach obowiązków wynikających z § 9 ust. 1 pkt. 1 o.w.r. do ogólnej ochrony mienia znajdującego się na terenie budowy — w tym do ochrony sprzętu budowlanego w miejscu jego pracy na budowie.

Brak w okresie kiedy szkoda zaistniała (w nocy) dozoru technicznego robót odwadniających nie zwalnia generalnego wykonawcy od odpowiedzialności za niewykonanie obowiązku ochrony mienia na terenie budowy. Agregaty odwadniające pracowały w godzinach nocnych przy zastosowaniu wyłącznika samoczynnego na wypadek awarii. Okoliczność ta była znana generalnemu wykonawcy. Agregaty te musiały bowiem pozostawać w ruchu ciągłym dla wykonywania robót odwadniających.

W świetle powyższych ustaleń uznanie w zaskarżonym orzeczeniu, że generalny wykonawca ponosi odpowiedzialność odszkodowawczą za niewykonanie obowiązku ogólnej ochrony mienia na terenie budowy, znajduje uzasadnienie prawne (art. 471 k.c.).

Z tych względów Główna Komisja Arbitrażowa utrzymała w mocy zaskarżone orzeczenie.”

nowe przepisy i zarządzenia

OCHRONA ŚRODOWISKA PRZED HAŁASEM I WIBRACJAMI

Kolejnym aktem wykonawczym do ustawy z dnia 31 stycznia 1980 r. o ochronie i kształtowaniu środowiska (zob. w poprzednim numerze notatkę o ochronie powietrza atmosferycznego przed zanieczyszczeniem) jest opublikowane ostatnio rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 30 września 1980 r. w sprawie ochrony środowiska przed hałasem i wibracjami (Dz. U. nr 24 poz. 90).

Stanowi ono m.in., że wykonywanie w obiektach budowlanych lub na terenie nieruchomości działalności powodującej przekroczenie dopuszczalnego natężenia hałasu w środowisku — jest zabronione. Podobnie zabronione jest wykonywanie czynności powodujących hałas w porze nocnej od godziny 22.00 do godziny 6.00 na terenach zabudowy mieszkaniowej oraz w sąsiedztwie budynków zamieszkania zbiorowego, szpitali i sanatoriów.

Dopuszczalne natężenie hałasu w środowisku określa załącznik do rozporządzenia. Jednak terenowy organ administracji państwowej stopnia podstawowego może wyznaczyć strefy ograniczonego hałasu, w których natężenie hałasu powinno być niższe od wyżej wspomnianego.

Z kolei rozporządzenie stanowi, że do środowiska nie mogą przenikać drgania (wibracje) o natężeniu oddziaływującym ujemnie zwłaszcza na zdrowie ludzi oraz otaczające obiekty budowlane.

To też jednostki organizacyjne i osoby fizyczne, korzystające z ma-

DOKOŃCZENIE NA STR. 8



Wiejskie ośrodki zdrowia działające blisko wielkich miast przyjmują model pracy przychodni rejonowej

Fot. S. ZUBCZEWSKI

* „Podstawowe przed specjalistycznym” — „Z. G.” nr 1/1980; „Kiedy lekarz zna pacjenta” — „Z. G.” nr 25/1980.

DOKONCZENIE ZE STR. 7

szyn i urządzeń mogących powodować wibracje, są obowiązane stosować odpowiednie środki techniczne eliminujące bądź ograniczające wibracje.

Pomiarów natężenia hałasu oraz wibracji dokonują organy Państwowej Inspekcji Sanitarnej.

OCHRONA ŚRODOWISKA PRZED ZANIECZYSZCZENIEM ORAZ UTRZYMANIE CZYSTOŚCI W MIASTACH I WSIACH

Dalszym aktem wykonawczym do ustawy o ochronie i kształtowaniu środowiska jest rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 30 września 1980 r. w sprawie ochrony środowiska przed odpadami i innymi zanieczyszczeniami oraz utrzymania czystości i porządku w miastach i wsiach (Dz.U. Nr 24, poz. 91).

W myśl tego rozporządzenia, terenowe organy administracji państwowej obowiązane są zapewnić na terenie objętym ich właściwością ochronę środowiska przed odpadami i innymi zanieczyszczeniami, jak też porządek i czystość.

Do tego celu służyć ma szereg środków, bliżej w rozporządzeniu wymienionych (§ 2 ust. 2).

Treść rozporządzenia ujęta została w 3 rozdziałach, z czego dwa poświęcone są oddzielnemu ochronie środowiska przed odpadami oraz utrzymaniu czystości i porządku w miastach i wsiach.

W ramach utrzymania czystości i porządku w miastach i wsiach należy szczególnie podkreślić, że jednostki organizacyjne i osoby fizyczne będące właścicielami lub zarządcami nieruchomości położonych w granicach administracyjnych miast lub wsi mają obowiązek zapewnić utrzymanie czystości i porządku przez:

1) usuwanie odpadów oraz gromadzenie tych odpadów w miejscach na ten cel przeznaczonych,

2) wyposażenie nieruchomości w urządzenia służące do gromadzenia odpadów oraz utrzymanie ich w odpowiednim stanie sanitarno-porządkowym,

3) oczyszczanie ze śniegu, lodu, błota oraz z innych zanieczyszczeń chodników, położeń wzdłuż nieruchomości i połowy szerokości jezdni na terenach miast i wsi o zwartej zabudowie, a także usuwanie śliskości w wymagany przepisami sposób.

Powinny obowiązywać utrzymania czystości i porządku ciążą:

1) na terenie budów oraz na przylegających do nich chodnikach, jezdniach, ulicach i placach publicznych — na kierowniku budowy,

2) w odniesieniu do lokali i obiektów budowlanych służących do celów handlowych, gastronomicznych, magazynowych, produkcyjnych i innych podobnych celów oraz do celów użyteczności publicznej — na użytkownikach tych lokali i obiektów budowlanych, przy czym obowiązki te obowiązują są wykonywać także na zewnątrz lokalu, w najbliższym jego otoczeniu i na jego zapleczu, na powierzchni ustalonej z zarządcą nieruchomości.

Oczyszczanie przystanków komunikacyjnych i torowisk tramwajowych — należy do przedsiębiorstw komunikacyjnych.

Odpowiedzialność za wykonywanie wspomnianych obowiązków ponoszą osoby sprawujące zarząd nieruchomości, dozorcę domów lub inne osoby, które w drodze umowy z zarządcą nieruchomości podjęły się wykonywania tych czynności albo też pracownicy jednostek sprawujących zarząd nieruchomości, którym powierzono wykonywanie tych czynności.

Jednostki organizacyjne i osoby fizyczne, na których ciąży wymienione wyżej obowiązki, mogą powierzyć ich wykonywanie komunalnym przedsiębiorstwom oczyszczania na zasadach oddatności.

PAŃSTWOWA INSPEKCYJA OCHRONY ŚRODOWISKA

Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 30 września 1980 r. w sprawie Państwowej Inspekcji Ochrony Środowiska oraz wykonywania kontroli w zakresie ochrony środowiska (Dz.U. Nr 24, poz. 96) ustala szczegółowy zakres działania i organizację wspomnianej inspekcji, a także zasady i tryb wykonywania przez nią oraz przez terenowe organy administracji państwowej kontroli, mającej na celu ochronę środowiska.

Czynności kontrolne z ramienia inspekcji wykonują jej inspektorzy. W razie ujawnienia nieprawidłowości, Państwowa Inspekcja Ochrony Środowiska:

1) podejmuje działania przewidziane prawem celem usunięcia tych nieprawidłowości,

2) występuje do właściwych organów o zastosowanie odpowiednich środków, a w szczególności zawiadamia o naruszeniu organ nadzórny sprawy.

Kierownik kontrolowanej jednostki jest obowiązany zapewnić inspektorowi warunki niezbędne do przeprowadzenia kontroli. Protokół kontroli podpisują inspektor i kierownik kontrolowanej jednostki, który może wnieść do protokołu umotywowane zastrzeżenia i uwagi.

Opracowała:
STANISŁAWA ZIELIŃSKA

CZY JESTEŚMY SKAZANI NA ZADŁUŻENIE

DOKONCZENIE ZE STR. 1

port, brakować będzie bodźców dla eksportu. Nie sądzę, aby tzw. decydujący byli w stanie określić tendencje w krótkim czasie. Jedynym możliwym sposobem podtrzymywania krwioobiegu w gospodarce będzie dalszy wzrost zadłużenia. I nie widzę w tym wielkiego nieszczyścia, pod warunkiem, że nowe kredyty będą użyte sensownie, lepiej niż w przeszłości. Trzeba abyśmy sobie i innym uświadomili te trendy, ich charakter i siłę, a przede wszystkim ich implikacje.

STANISŁAW RĄCZKOWSKI: — Czy jesteśmy skazani na zadłużenie się? Skoro ciągle dostajemy za eksport mniej niż wydajemy na import, to tę lukę musimy czymś pokryć. Z uzyskaniem nowych kredytów nie będziemy mieli kłopotów tylko wtedy, gdy potencjalni wierzyciel będzie przekonany, że dostaniemy swoje pieniądze z powrotem. Będzie się zatem przyglądał naszym zdolnościom eksportowym, gdyż na dłuższą metę nie ma innego niż eksport sposobu regulowania długów. No i nie zapominajmy, że im wyższe zadłużenie, tym wyższe płaci się odsetki. Przy obecnym poziomie stopy procentowej, która przekracza średnio 10 proc., samych odsetek płacimy ponad 2,5 mld dolarów rocznie. To są pieniądze, za które nie przychodzi z zagranicy żadne towary. Jest to czyste obciążenie dochodu narodowego. Jeżeli przyjąć, że aby dostać 1 dolara, którym później spłaca się odsetki, trzeba wyeksportować towar, którego produkcja kosztowała nas średnio powiedzmy 45 złotych, to otrzymamy sumę przekraczającą grubo 100 mld złotych obiegowych.

Są kraje o wyższym niż my zadłużeniu. Np. Brazylia. Ale jej możliwości eksportowe są lepsze. Ponadto Brazylia zaciągnęła sporo kredytów długoterminowych, 10-letnich i dłuższych, zalicza się do krajów rozwijających się i korzysta ze specjalnych preferencji Banku Światowego. A my?

Myli się ten, kto sądzi, że zadłużaliśmy się głównie na inwestycje.

W. RYDYGIER: — Z moich szacunków wynika, że na maszyny i urządzenia poszło około 20 proc. kredytów wykorzystanych w latach 70-tych, na zboża i pasze — około 14 proc., a około 66 proc. na zaopatrzenie materiałowe.

S. RĄCZKOWSKI: — Właśnie. Zboża i pasze kupuje się nie w kredycie 10-letnim, lecz co najwyżej 2- czy 3-letnim. Nikt też nie sprzedaje wyrobów walcowanych na 10-letni kredyt. Wskutek tego, że większość naszego zadłużenia poszła na zaopatrzenie surowcowo-materiałowe przemysłu i na artykuły rolne, terminy spłaty tych kredytów są stosunkowo krótkie. A więc najbliższe lata obciążone są poważnymi spłatami.

S. DŁUGOSZ: — Nie chciałbym, aby z tego, co powiedział prof. Rączkowski o odsetkach powstało wrażenie, że co roku wyrzucamy w błoto przeszło 2 mld dolarów, że za to nic nie dostajemy. Jest to po prostu cena, jaką płacimy dziś za to, że kiedyś kupiliśmy coś na kredyt, mniej lub bardziej racjonalnie. Kredyt zawsze kosztuje.

Była tu mowa o Brazylii. Brazylijczycy już parę lat temu zaczęli dokonywać zabiegów zmiany kredytów średnioterminowych, 3- do 5-letnich na kredyty długoterminowe, świadomie skazując się na znacznie wyższe koszty tych kredytów.

W. RYDYGIER: — W roku 1980 nie uzyskali już jednak takiej wielkości kredytów, jakiej potrzebowali. Zmusiło to Brazylię do poważnego zmniejszenia swych rezerw dewizowych. Ostatnio ukazały się informacje o tym, że Brazylia podjęła próby wejścia na wewnętrzny rynek krótkoterminowych papierów wartościowych w USA, na którym lokowane są nadwyżki gotówkowe wielkich korporacji oraz towarzystw ubezpieczeniowych. Na rynku tym Brazylia chce uzyskać kredyt z terminem płatności 30-45 dni, który może być odnawiany, ale nie może przekroczyć 2 lat. Myślę, że i my również możemy mieć kłopoty z uzyskaniem takiej wielkości kredytów, jakiej będziemy potrzebowali.

ZBIGNIEW KARCZ: — Rzecz w tym, aby określić, ile będziemy potrzebowali. Jeśli przez niezbędną ilość kredytów będziemy rozumieć sumę niezbędną dla utrzymania obecnego poziomu importu i eksportu, a nie zapominajmy o spłatach, to będzie trudne. Wariant taki, że kre-

dyt miałyby jeszcze pobudzić gospodarkę, a więc zapewnić dodatkowy zastrzyk importowy — uważam za nierealny. To znaczy niemożliwe jest dokonanie operacji takiego typu jak w latach 1972-1976, nawet na mniejszą skalę. Jeśli natomiast przyjąć, że kredyty mają nam zapewnić niewielki wzrost importu, przy zmianach jego struktury, a więc zmniejszenie zakupów maszyn i urządzeń, ograniczenie w przyszłości importu rolnego, a jednocześnie nie hamować gospodarki, dać jej niezbędne materiały i surowce, to taki wariant wydaje się możliwy przy spełnieniu jednego warunku: pokazaniu nowym kredytodawcom drogi wyjścia z obecnej sytuacji. Dostaniemy więcej, jeśli przekonamy świat bankierski, że pieniądze nam pożyczone będą racjonalnie wykorzystane.

S. RĄCZKOWSKI: — Tym bardziej, że większość naszego zadłużenia to zadłużenie wobec prywatnych banków, a nie wobec rządów.

S. DŁUGOSZ: — Ale duża część jest gwarantowana przez rząd.

S. RĄCZKOWSKI: — Tym niemniej są to prywatne banki, które patrzą, czy i kiedy dostaną pieniądze z powrotem. Podstawowa sprawa jest zatem program wyjścia, który musi zakładać, że w ciągu kilku lat doprowadzimy do zahamowania dalszego wzrostu zadłużenia.

Z. KARCZ: — I musi to być program dotyczący całej gospodarki, bo nikt nie uwierzy w uzdrowienie li tylko handlu zagranicznego.

S. DŁUGOSZ: — Najłatwiej dostać kredyt gospodarce silnej. Ale gospodarka silna nie zawsze jest zdrowa. Myślę, że my dziś właśnie jesteśmy przykładem dość silnej pod względem potencjału produkcyjnego i surowcowego, kwalifikacji kadr, gospodarki, która przechodzi przez kryzys chorobowy. Im szybciej tę chorobę przezwyciężymy, tym łatwiej będzie nam działać również na rynku kredytowym.

MARIAN KRZAK: — Czy jesteśmy skazani na dalsze zadłużanie się? Odpowiedź jest prosta: nie mamy dziś innego wyjścia, jest to konieczność. Gdyby nie katastrofa w rolnictwie rzutująca silnie także na rok przyszły i skutki spadku produkcji przemysłu w drugiej połowie br., to sądziłbym, że sytuacja przelamania, gdzieś w 1983 roku, trendu wzrostu zadłużenia. W nowych warunkach moment ten odsunął się w czasie.

Z gospodarką kraju, jak z każdym przedsiębiorstwem: to, które nie może prosperować, dostanie od banku kredyt bez trudu. Bank musi dawać kredyty, bo z tego żyje. Pytanie: komu? Jeżeli klient budzi zaufanie, gwarantuje, że odda, to bank właściwie odnawia kredyty, spłacać je będzie i natychmiast dostaje te same pieniądze z powrotem. Prawdą jest, że aktualna sytuacja w naszym kraju wywołuje w niektórych kołach finansowych Zachodu wątpliwości co do naszej wiarygodności. Dlatego są nam potrzebne mocne przesłanki do budowy tej wiarygodności — przesłanką najważniejszą jest właśnie program ekonomiczny, jasny, konsekwentnie narysowany program na 5-7 lat.

S. DŁUGOSZ: — W obecnych warunkach szczególnie cenne jest zrozumienie, jakie dla naszej sytuacji gospodarczej wykazują partnerzy z RWPG. Jak wiadomo Związek Radziecki poza zwiększeniem dostaw towarowych znacznie ponad pierwotne ustalenia udzielił nam na przyszły rok 1,1 mld dolarów kredytu w walutach wymienialnych. Również inne kraje socjalistyczne wyszły naprzeciw naszym potrzebom. Łącznie zakupimy u nich towary rynkowe o wartości przekraczającej o ponad 200 mln dol. założenia protokołów rocznych, choć sami ze swych zobowiązań wywiązują się nie do końca. Pamiętajmy więc, że kredytują nas nie tylko banki zachodnie. Przynależność do RWPG jest naszym poważnym atutem zewnętrznym, a partnerzy zachodni oceniając możliwości Polski biorą pod uwagę także i nasz udział w procesach integracji socjalistycznej.

M. KRZAK: — Współpraca z krajami RWPG daje nam ponadto pewną elastyczność i po stronie importu, i po stronie eksportu, choć szanse współdziałania produkcyjnego są wciąż dalekie od wykorzystania.

W. RYDYGIER: — Za ważny kierunek wykorzystania tej współpracy dla złagodzenia naszych trudności uważam zaproponowanie partnerom z RWPG skorzystania z naszych wolnych zdolności produkcyjnych. Eksport gotowych wyrobów wykona-

ny na zamówienie partnerów, z ich surowców, może być w wielu dziedzinach obustronnie korzystny. Mniej przecież będziemy wolne moce, a walcie gardła do zaopatrzenia.

M. KRZAK: — Rozważa się takie warianty, choć gdy spryta o te wolne moce, to zwykle zapada głucha cisza.

Z. KARCZ: — Skoro już mowa o wąskich gardłach, to powstaje pytanie: czy rzeczywiście utrzymanie importu na dzisiejszym poziomie musi oznaczać kłopoty z zaopatrzeniem surowcowo-materiałowym gospodarki? Ile importu nam naprawdę potrzeba? Od wielu lat nie możemy się doprosić z Komisji Planowania i z resortów odpowiedzi na pytanie, ile rzeczywiście jest niezbędne dla: a) utrzymania produkcji, b) utrzymania bądź zwiększenia eksportu. Takiego rachunku w naszym kraju nikt nie zrobił. Wiemy tylko, że do tej pory na 1 proc. produkcji potrzeba tyle to i tyle importu. Przyjmując to za punkt wyjścia do dalszych kalkulacji sankcjonujemy niejako dotychczasową strukturę wytwarzania i dotychczasową nadmierną importochłonność.

M. KRZAK: — Wracając do zadłużenia uważam, że jedną z głównych przyczyn obecnej sytuacji jest ogromny od paru lat import zboż. Tona zboża, wraz z transportem kosztuje nas ponad 200 dol. Do tego dochodzą odsetki. To co powiem nie zjedna mi zapewne sympatyków, nie jest to teza popularna, ale uważam, że przekroczyliśmy nasze możliwości w dziedzinie spożycia żywności. Niedoceniamy rolnictwa i błędy w polityce rolnej doprowadziły m. in. do 10-letniego opóźnienia produkcji roślinnej w stosunku do hodowli, a opóźnienie to łączyliśmy importem zboż.

J. GŁÓWCZYK: — Czy to znaczy, że dotychczasowe działania na rzecz rolnictwa mają być dziś jedną z zasadniczych dróg rozwiązywania również naszych problemów płatniczych?

W. RYDYGIER: — Przypominam, że w skali całego 10-lecia tylko 14 proc. kredytów poszło na zboża i pasze.

M. KRZAK: — Można się spierać co do tego rachunku.

M. OSTROWSKI: — Ale nie spierajmy się czy 14 proc., czy 16, czy nawet 18. Ważne, że gdyby rządzeniem niebios urodziło się dużo więcej zboża i okopowych, to byłoby to ogromna ulga dla bilansu płatniczego.

W. RYDYGIER: — Ulga na pewno, ale to nas nie ratuje.

M. KRZAK: — U nas spadkowi produkcji rolnej towarzyszył wzrost spożycia żywności. A jeśli dodać do tego migrację ze wsi do miast...

J. GŁÓWCZYK: — Właśnie. Rzecz nie we wzroście ogólnego poziomu spożycia, lecz w tym, że parę milionów ludzi, którzy żyli się poprzednio na wsi, znaleźli się w mieście.

M. KRZAK: — A to są inni konsumenci. Trudno oceniać negatywnie samą migrację, ale wzrost spożycia, jaki się z tym wiązał, odbywał się i odbywa w dużym stopniu na kredyt.

M. OSTROWSKI: — Nie rozdzierajmy szat nad wysokim spożyciem, bo to twierdzenie mocno dyskusyjne. Ważniejsze, że możliwości rolnictwa są dalekie od wykorzystania. Zaś w latach siedemdziesiątych, przy wzroście aspiracji społeczeństwa, w tym także konsumpcyjnych, możliwości rozwoju rolnictwa zostały zahamowane.

M. KRZAK: — W 1974 roku mieliśmy podobną ilość świń co obecnie. Tylko wtedy importowaliśmy 3-3,5 mln ton zboża, a ostatnimi laty 8-9 mln, nie mówiąc o obecnym katastrofalnym roku, kiedy musimy kupić za granicą 10 mln ton zboża i paszy oraz znaczne ilości żywności. Koszt wyżywienia 1 hodowlanej sztuki bardzo wzrósł. I ta pozycja coraz bardziej waży w strukturze naszego importu i zadłużenia. Nie bez wpływu na ogromne marnotrawstwo zarówno w gospodarce paszami, jak i żywnością pozostaje układ cen.

Ot, przykład karpia, sprawą którą pcruszyłem niedawno publicznie. Niby drobiazg, ale przedświetałmi nabiera aktualności. Wśród korespondencji, jaką otrzymywał, były i listy od hodowców. Piszą, że karp brakuje, bo cena taka, że hodowla nie-bardzo się opłaca. Zastanawiamy się, co lepsze: utrzymywać w kraju



Stanisław Długosz



Zbigniew Karcz

niską cenę, odczuwać niedobór, importować za dolary, czy też podnieść cenę i mieć własne. Albo kartofle. Póki cena była niska, kartofli nie było. Cenę uelastyczniono, kartofle się znalazły. A zatem w samym mechanizmie cenowym tkwią także przyczyny nadmiernej importochłonności sfery rolno-spożywczej. Ale nie dotyczy to tylko tej dziedziny. Nasz przemysł najłatwiej rozwiązuje wszelkie problemy drogą importu. Powszechne marnotrawstwo najłatwiej przykryć importem. Import importera nie nie kosztuje. Dopóki tego gruntownie nie zmienimy nie zniknie presja na wzrost zadłużenia.

J. GŁÓWCZYK: — Nie zgadzam się z tą wyprowadzającą nasze kłopoty płatnicze z nadmiernej spożycia żywności i z importu zboż. Tej tezy obronić się nie da. Wrócę do przeszłości, gdyż jeśli nie odpowiemy sobie, dlaczego się zadłużyliśmy, to nie zbudujemy prawidłowego programu wyjścia. A zadłużyliśmy się głównie dlatego, że narzuciliśmy niesłychane tempo inwestycji, przy strukturze, która abstrahowała m. in. od rolnictwa. „Położyliśmy” rolnictwo, a gdy trzeba było ratować sytuację, zdecydowano się na najgorszy typ finansowania rolnictwa, a mianowicie na ogromny import zboża.

M. KRZAK: — Nie widzę między nami sprzeczności. Mówiłem przecież, że nienależycie rozwijano rolnictwo, że nie tworzyliśmy własnej bazy wyżywienia.

J. GŁÓWCZYK: — Powiedzmy zatem wyraźnie, że nasze zadłużenie leży w 700-800 miliardach złotych zamrożonych nakładów inwestycyjnych o chybotliwej strukturze, w zaangażowaniu sięgającym 1 biliona 200 miliardów. Najgorsze, że z tego niewiele wyciągnęliśmy. Ile jest w tym urządzeń z importu? Dużo więcej niż było w naletek na maszyny. Bo nawet w tych produkcjach krajowej tkwi spory import. Do ich produkcji zużyto bowiem importowany metal, importowane paliwa itd. Gdyby struktura tych nakładów była sensowna, to o wiele łatwiej byłoby wychodzenie z kryzysu. A te skazani jesteśmy na to, aby częściej tych nakładów dogrzebać. I im bardziej konsekwentnie będziemy w cięciach inwestycyjnych, tym lepiej. Nie polczył nas duży import żywności. Import żywności stał się zabiegiem taktycznym, gdy nie było innego wyjścia.

M. KRZAK: — Cały proces zadłużania się można podzielić na dwie fazy. W pierwszej, w latach 1972-1975, dominowały bardzo żywiołowo rosnące inwestycje, coraz bardziej angażujące nasz potencjał produkcyjny, a także wypychające nas w potężny import surowcowy, który tyle nas kosztował i nadal kosztuje. Natomiast później pojawił się wielki import zboża i paszy w okresie 1976-1979 obrotów artykułami rolnospożywczymi, nie licząc kosztów transportu i oprocentowania, zamknęły się ujemnym saldem przekraczającym 2,7 miliarda dolarów a w tym roku saldo to za 10 miesięcy wyniosło dodatkowo 1,3 mld dol. To też kilka jest źródeł dzisiejszego stanu zadłużenia. Na pierwszym miejscu i ja postawiłbym oczywiście inwestycje w 1972-1975, która wywołała potężny wzrost importochłonności gospodarki.

M. OSTROWSKI: — Chciałbym dokonać czegoś, czego nikt w historii nie dokonał, nawet w bardziej sprzyjających warunkach, bez uciążliwych do zewnętrznych źródeł finansowania. Chciałbym mianowicie jednocześnie forsować i industrializację (a więc inwestycje), i konsumpcję i to w tak krótkim czasie. Ta strategia rozwojowa w marzahu z naszym systemem funkcjonowania, który chce i rozbuchanych ambicji nie korygując, musiła dać widoczny wyraz w postaci zadłużenia. A to, że na początku były widoczne większe zakupy inwestycyjne z zatrzymaniem, a później ratowano się importem zboża, to oczywiście, taka była logika tego procesu.

S. DŁUGOSZ: — Wymienimy jeszcze elementy zewnętrzne, które sprzyjały zadłużaniu się.

Po pierwsze: kredytodawcy w pierwszym momencie uznali, że nasza polityka dynamicznego rozwoju przyniesie owoce, po drugie: na początku lat siedemdziesiątych przeprowadzono pomyślną transakcję kredytowo-koooperacyjną z Fiatem, mam na myśli umowę licencyjną na 126p i wydawało się, że każda następna będzie powieleniem tych korzyści, po trzecie: jeśli chodzi o pozyskiwanie kredytów, nazwijmy je, zaopatrzeniowymi, na artykuły che-



Marian Krzak

miczne, hutnicze czy włókiennicze to zjedno się ono w czasie z recesją i względnie nadprodukcją w Europie Zachodniej, zwłaszcza w branży hutniczej, stąd wynikała łatwość uzyskania tych kredytów, nawet 5-letnich.

M. OSTROWSKI: — A co dalej? Wzrost zadłużenia czeka nas nieuchronnie. Pytanie, jak wykorzystać ten wzrost zadłużenia, aby rozpocząć proces porządkowania, uzdrawiania naszego gospodarstwa narodowego. Nasze pole manewru jest jeszcze większe, niż się to wydawało. Nie sądzę, aby sprzyjały nam zmiany strukturalne w gospodarce światowej, a wraz ze spadkiem eksportu węgla będziemy mieli do czynienia faktycznie ze spadkiem naszych „terms of trade”. Przyjdzie nam, przy wyższym pułapie zadłużenia, działać w warunkach zwiększonej niepewności i nerwowości.

W dalszej rozmowie nie padło dotąd słowo „moratorium”, które zaczęło się pojawiać w niektórych publikacjach jako antydotum na nasze kłopoty. Wyjaśnijmy więc może, co to jest moratorium.

S. RĄCZKOWSKI: Moratorium polega na zwrocie wierzyciela na odłożenie spłat. Dotyczy określonych umów kredytowych. Mam więc z nim do czynienia, gdy powiadamy: Panowie, nie jesteśmy w stanie spłacić, zgadzacie się na to, że odraczacie nam wszystkie raty o, powiedzmy, 4 lata, i gdy ci Panowie godzą się. Moratorium ani o centa nie zmniejsza mojego zadłużenia, tylko odsuwa ciężar spłaty na później.

J. GŁÓWCZYK: — A odsetki biegną.

S. RĄCZKOWSKI: — Albo biega albo nie. To zależy od rodzaju moratorium. Najlepszy przykład, jaki znam to moratorium Hoovera z roku 1930, kiedy Stany Zjednoczone wyraziły jednostronnie zgodę, aby zawiesić obsługę długów wojennych. I to zawieszenie trwa do dzisiaj. Z tego tytułu „wisi” w Ministerstwie Skarbu USA na 200 mln z tytułu długu i 400 mln dol. odsetek.

S. DŁUGOSZ: — Za dostawy dla armii Hallera.

S. RĄCZKOWSKI: — Trzeba podkreślić, że moratorium przesuwając spłaty w czasie rozładuje psychicznie. Daje poczucie ulgi i demobilizuje.

S. DŁUGOSZ: — I wszyscy się cieszą, że znów można importować.

S. RĄCZKOWSKI: — No właśnie. Czyli znówu się zadłużać. Ale przecież samo wystąpienie o moratorium przekreśli możliwości uzyskiwania nowych kredytów, bo kto będzie skłonny pożyczać pieniądze niesolidnemu dłużnikowi.

Z. KARCZ: — W oczach opinii publicznej słowo „moratorium” jawi się jak cudowna pigułka, dobra aspiryna Bayera, która załatwi sprawę zadłużenia i zapewni możliwość importu. Tymczasem musimy powiedzieć brutalnie i otwarcie: jeśli od przyszłego roku nie będziemy mieli wzrostu eksportu, nie będziemy mogli utrzymać dotychczasowego poziomu importu.

S. RĄCZKOWSKI: — Natomiast inny charakter ma zabieg refinansowania. Spłacam stare długi z bieżących wpływów eksportowych i zaciągam nowe długi na nowy import. Ta droga zmusza do konkretnego wysiłku eksportowego, a także do oszczędności na imporcie.

Wątpię, czy ktokolwiek uwierzy w realność naszych programów, póki będziemy tacy rozrzućni, jak dziś. Japończycy zmniejszyli swe zużycie



Marian Ostrowski



Stanisław Rączkowski



Wiesław Rydygier

ropy o 10 proc., Francuzi o 8 proc., Amerykanie też zużywają dziś mniej niż wcześniej. A my? Trzeba oszczędzać, np. na węglu, bo to nam może przynieść niemały wpływ dewizowy. Widzę potrzebę szerokiej kampanii oszczędnościowej pod kątem widzenia handlu zagranicznego. Wzrosty od tego „Solidarności” w poszczególnych przedsiębiorstwach zaczęła poszukiwać możliwości oszczędzania.

Z. KARCZ: — Co jeszcze przemawia przeciwko moratorium? Ogłoszenie moratorium wiąże się z pewnymi zaletami formalno-organizacyjnymi nie tylko ze strony dłużnika i wierzycieli. Nie kończy się zatem na tym, że wierzyciele wyrażają zgodę, a dłużnik przyjmuje określone warunki. Nasi główni wierzyciele należą do OECD, do EWG i ta przynależność nie może być dla nich konkretną przeszkodą. Czyli nasze pole manewru byłoby wówczas zawężone tylko do tej grupy krajów.

I to kolejny powód, dla którego powinniśmy, moim zdaniem, unikać moratorium... Jest to bowiem dodatkowe skrepowanie naszej swobody decyzji. Miejmy nadzieję, że potrafimy się rzucić w gospodarkę lepiej niż ci, którzy by nami dyktowali w przypadku umowy moratorium. Przykład Turcji pokazuje wyraźnie, że nie jest to rozwiązanie szczęśliwe, skoro po dwóch latach stan jej gospodarki i bilansu płatniczego jest gorszy niż z początkiem rokowań.

S. RĄCZKOWSKI: — Wprowadzić my pewien porządek w pojęciach:

— roll-over — to zaciąganie u tego samego wierzyciela nowego kredytu w tej samej co poprzednio sumie, choć nie zawsze na tych samych warunkach; wpływami z tego nowego kredytu spłaca się wtedy stary,

— refinansowanie polega na zaciąganiu nowych pożyczek u różnych wierzycieli na spłatę starych długów,

— konwersja (rescheduling) — to uzgodniona z wierzycielami zmiana warunków, na jakich zaciągnięte zostały kredyty — z reguły oznacza wydłużenie okresu spłaty,

— o moratorium była już mowa, — repudiacja — czyli jednostronne zawieszenie spłat.

Różnica między moratorium i repudiacją jest niebagatelną. Ponieważ moratorium dokonuje się za zgodą wierzyciela, nie „wsiada” on na majątek dłużnika za granicą. Natomiast w przypadku repudiacji długu, wierzyciele mogą zajmować awaryjne środki w bankach zagranicznych a nawet sekwestrować jego statki, wpływające do obcych portów.

M. KRZAK: — Ponieważ wielu dziennikarzy doradza nam moratorium, proponuję, aby sposoby praktycznych rozwiązań pozostawić fachowcom. Chodzi tu bowiem o wielką sprawę, jaką jest nasza wiarygodność. Główną naszą troską jest zaś zmniejszenie ciężaru spłat kredytów.

W. RYDYGIER: — Wracając na nasze krajowe podwórko powtarzam, że głównym problemem płatniczym

jest import zaopatrzeniowy. Na ten cel zostało przeznaczone 2/3 kredytów wykorzystanych w latach siedemdziesiątych. Ten import stanowi obecnie podstawowy warunek funkcjonowania przemysłu. Teza: trudno liczyć na to, abyśmy dostali tyle kredytów, ile by nam trzeba przy obecnej strukturze produkcji i zużycia. Nie ma co liczyć na to, aby kredyty pozwoliły ożywić gospodarkę. Wniosek: obok cięć inwestycyjnych i zabiegów o poprawę sytuacji w rolnictwie, konieczne są poważne zmiany w strukturze zużycia niektórych materiałów i surowców. To znaczy rezygnacja z pewnych rodzajów produkcji, ograniczenie innych. Inaczej nie wyjdziemy z tego zakłętą koła.

S. DEUGOSZ: — Możliwości zaciągania dalszych kredytów zależą od tego, o jakie kredyty chodzi. Łatwiej będzie uzyskać kredyty transakcyjne, są to bowiem kredyty promujące eksport naszych partnerów, niż kredyty finansowe. W sumie jestem umiarkowanym optymistą, jeśli chodzi o możliwości sfinansowania naszych potrzeb importowych w przyszłym roku. Chodzi jednak o uzyskanie takich warunków, aby nowe operacje kredytowe nie powiększały zbytnio naszego zadłużenia. Oczywiście, jak już mówiłem i my musimy sporo zrobić. Jeśli nie zdołamy przedstawić przekonującego programu to wątpliwości doc. Rydygiera mogą się okazać uzasadnione. Pomogą nam wtedy, gdy dostrzegą program.

M. KRZAK: — Pomogą nam wtedy, gdy zobaczą, że i sami sobie pomagają.

S. DEUGOSZ: — Nasze społeczeństwo powinno zdać sobie sprawę, że to, co się wydarzyło u nas w ostatnich miesiącach osłabiło, czy to się podoba czy nie, naszą pozycję partnerską, choćby przez gwałtowne zmniejszenie eksportu niektórych towarów bardzo ważnych i dla nas, i dla naszych kontrahentów, zarówno w krajach wspólnoty socjalistycznej, jak i w krajach kapitalistycznych. Nie wywiązujemy się z podpisanych kontraktów i nadszarpnięta reputacja solidnego partnera trzeba jak najszybciej przywrócić.

M. OSTROWSKI: — Przypomina mi się opowiadanie o ekonomistach, którzy na bezludnej wyspie znaleźli puszkę. Nie miał poza nią niczego, żadnego narzędzia. Powiedział jednak do siebie: „założywszy, że jestem w posiadaniu kluczyka do otwierania tej puszkę”. Do czego zmierzam, spytaicie. Nie chciałbym, aby ktośkolwiek wyciągnął z naszej rozmowy wniosek następujący: są trudności z uzyskaniem kredytu. Ale gdy uzyskamy środki na import to... Wielekroć tu mówiono, że ostateczny klucz do wyjścia z kryzysu leży wewnątrz naszej gospodarki. Konkretyzując chodzi o znalezienie sposobów przetworzenia tego importu w efektywną produkcję, w tym także eksportową.

Byłoby złudą oczekiwać, że ktośkolwiek jest dziś zdolny zbudować taki program bez uzyskania poparcia społecznego. Rzecz w tym aby nadać mu konkretne treści tak niezbędnych działań gospodarczych wyzwalających rezerwy. I — nade wszystko — nie próbujemy nikogo przekonywać, że jest to łatwe.

S. DEUGOSZ: — Przywracanie stabilizacji to nie chwila, lecz proces zakrojony na co najmniej kilka lat. Trzeba aby do tej myśli przyzwyczaili się całe społeczeństwo.

M. KRZAK: — A wśród naszych partnerów za granicą będziemy musieli umniejszać naszą ekonomiczną wiarygodność

Dyskusję opracował
ANDRZEJ LUBOWSKI

Zdjęcia: S. ZUBCZEWSKI

W całym okresie powojennym węgiel kamienny odgrywał kolosalną rolę w naszym handlu zagranicznym. W pierwszych latach po wyzwoleniu węgiel przynosił ponad 90 proc. całości wpływów z eksportu. W planie sześciolletnim udział ten wahał się od 40 do 55 proc. Począwszy od drugiej połowy lat pięćdziesiątych pierwsze efekty industrializacji kraju oraz zmiana sytuacji na rynku światowym powodują systematyczne zmniejszanie się znaczenia tego towaru w eksporcie Polski. Nigdy jednak węgiel nie przestał być najważniejszym naszym towarem eksportowym.

Najniższy udział w eksporcie węgla osiągnął w 1969 r. Przyniósł wówczas 9,4 proc. całości wpływów. Od początku lat siedemdziesiątych następuje jednak ponowny wzrost tego udziału. W połowie tej dekady wyeksportowaliśmy 38,4 mln t węgla kamiennego, co oznacza wzrost prawie o 10 mln t w porównaniu z 1970 r. Uzyskaliśmy wówczas za ten eksport 5457 mln zł dew., co stanowiło aż 16 proc. całości naszych wpływów z eksportu. Szczytowy poziom eksportu węgla osiągnął w 1979 r. Sprzedano wówczas za granicę 41,4 mln t, tj. ponad 30 proc. całości produkcji, jednak udział węgla w globalnym eksporcie obniżył się do 11,4 proc.

Z przytoczonych wyżej danych wynika jednoznacznie kluczowa rola węgla w naszej dotychczasowej wymianie z zagranicą. Znaczenie węgla byłoby jeszcze większe, gdyby wziąć pod uwagę wielkość zysku finansowego, jaką ten eksport przynosi. Przykładowo: w woj. katowickim eksport węgla daje grubo ponad 90 proc. całości zysku finansowego z globalnego eksportu tego najbardziej uprzemysłowionego przecież w Polsce regionu.

Aktualna sytuacja

W 1980 r. eksport węgla kamiennego miał osiągnąć wielkość 42,75 mln t. Oznaczałoby to wzrost w stosunku do roku poprzedniego o około 3,2 proc. W ramach tej kwoty 32,25 mln t miało stanowić węgiel energetyczny, a 10,5 mln t węgiel koksowy. W marcu br. plan eksportu zwiększono o dalsze 500 tys. t. Ostatecznie więc w 1980 r. zaplanowano eksport 43,25 mln t węgla kamiennego.

W ciągu pierwszych 9 miesięcy sprzedano za granicę tego 28,178 mln t, zaś w IV kwartale według obecnych przewidywań wyeksportuje się zaledwie 4,8 mln t, przy czym wiele wskazuje na to, że nawet te wielkości trudno będzie osiągnąć. W październiku bowiem sprzedano za granicę tylko 1,055 mln t, w porównaniu z 3,846 mln t w tym samym miesiącu zeszłego roku. Gdyby więc w ostatnich dwóch miesiącach miały utrzymać się takie tendencje jak w październiku, to do wykonania planu zabrakłoby blisko 12 mln t węgla. Oznacza to, licząc wg średnich zeszłorocznych cen, brak w bilansie płatniczym prawie 1,7 mld zł dew. Jest zupełnie oczywiste, iż niespodziewany brak takiej kwoty musi rzutować na całość naszego handlu zagranicznego. W dodatku nie nie wskazuje na to, by rekordowy eksport węgla z 1979 r. mógł powtórzyć się w najbliższych latach, jeżeli w ogóle kiedykolwiek będzie to mogło mieć miejsce. Ten spadek eksportu nie jest bowiem wynikiem czasowych zaburzeń w funkcjonowaniu górnictwa węgla kamiennego, ale rezultatem głębokich przemian zachodzących w górnictwie i w całej naszej gospodarce. Na mocy porozumień zawartych w Jastrzebieu praca w czasie ponadnormalnym odbywa się w tej chwili na zasadzie całkowitej dobrowolności, a przecież w planie na rok 1980 założono, iż w niedziele i święta wydobędzie się około 17 mln t węgla. Nowa sytuacja spowodowała więc naturalnie i społecznie uzasadnione zmniejszenie produkcji, a co za tym idzie, konieczność zmniejszenia eksportu. Jeszcze większy wpływ na zmniejszenie eksportu wywarła prowadzona w ostatnich tygodniach nowa polityka podziału posiadanej puli węgla. Uprzywilejowany został rynek wewnętrzny. Tak np. w październiku na eksport skierowano zaledwie 7 proc. ogólnego wydobycia węgla a całą resztę na potrzeby wewnętrzne. Obie te przyczyny zmniejszenia

CO DALEJ Z EKSPORTEM WĘGLA?

JERZY PODSIADŁO

eksportu są społecznie uzasadnione i co więcej, mają względnie trwały charakter. Perspektywy eksportu węgla na najbliższe miesiące nie wyglądają więc różowo.

W pierwszych przybliżeniach na rok 1981 zakłada się radykalne zmniejszenie eksportu. „Węglókoks” otrzymał już w tej mierze trzy znaczące różnice między sobą warianty przewidzianej wielkości eksportu. Najniższy wariant przewiduje eksport w wielkości 20 mln t. Ustalono go, jak można sądzić, na podstawie aktualnych bilansów węgla kamiennego i ostatecznego założenia co do wielkości produkcji w najbliższym roku. Gdyby ta koncepcja została w praktyce zrealizowana, oznaczałoby to zmniejszenie eksportu o około 50 proc. w porównaniu do ostatnich lat. Nieco mniej pesymistyczny jest wariant drugi. Zakłada on eksport 26 mln t. Wariant najbardziej optymistyczny przewiduje na rok 1981 eksport 30 mln t węgla. Przyjmuje się, że uzyskanie takiej kwoty węgla na eksport wymagałoby wydobycia 190—195 mln t. Jeżeli w 1981 r. udałoby się wydobyc 190 mln t węgla, a wydaję się to realne i wyeksportować 30 mln t, oznaczałoby to, iż cały ciężar zmniejszenia wydobycia z 201 mln t w 1979 r. do 190 mln t w 1981 r. przysłał na siebie handel zagraniczny. Eksport bowiem zmniejszyłby się mniej więcej o taką samą kwotę, o jaką zmniejszyła się produkcja. W tej sytuacji wydaję się, iż eksport 30 mln t węgla w 1981 r. jest najniższą wielkością, jaka może być zakładana i do jakiej można dopuścić, jeżeli w ogóle chcemy zachować szanse na rozwikanie trudności w bilansie płatniczym. Eksport węgla nie może być w najbliższym okresie zastąpiony żadnymi innymi towarami. Mimo wielu deklaracji nie zdołano bowiem w minionych latach stworzyć proeksportowej struktury przemysłu przetwórczego. Węgiel zatem był i musi jeszcze pozostać, co najmniej przez parę najbliższych lat, podstawowym dostawcą dla naszego gospodarki.

Możliwość eksportu węgla nawet przy stabilizacji jego produkcji byłaby znacznie wyższa, gdyby udało się doprowadzić gospodarkę energetyczną do poziomu europejskiego. Nie chodzi tu o administracyjne zmniejszanie dostaw dla odbiorców krajowych, ale o stworzenie warunków, w których sami odbiorcy mieliby większe zapotrzebowanie na węgiel. Żyć w poszczególnych dziedzinach gospodarki graniczy u nas z marazmem. Brak rachunku ekonomicznego w gospodarce nie pozwalał jednak do tej pory opracować i wprowadzić w życie długookresowego kompleksowego programu racjonalizacji gospodarki paliwami. W chwili obecnej program taki jest pilną koniecznością.

Eksport a jakość węgla

Poważne możliwości zwiększenia dochodów z eksportu węgla tkwią w jego jakości.

Jedną z przyczyn, dla których węgla nie sprzedajemy w większych ilościach, jest jego niski kaloryczność. Węgla kamiennego, który jest podstawą naszego eksportu, jest on najniższym. Węgla kamiennego, który jest podstawą naszego eksportu, jest on najniższym. Węgla kamiennego, który jest podstawą naszego eksportu, jest on najniższym.

nową podstawę ustalania cen kontraktowych. Zasadniczą cechą decydującą o wartości węgla energetycznego jest jego wartość opałowa. Oprócz tego oceną się jeszcze zawartość popiołu, siarki i stopień wilgotności. Dla uzyskania dobrej ceny pożądaną jest kształtowanie się wartości opałowej węgla energetycznego powyżej 6000 kcal. Przyjmuje się, iż węgiel jest dobry pod względem jakościowym, jeżeli zawartość popiołu kształtuje się w granicach 12—14 proc., wilgotność około 8 proc., zawartość siarki nie przekracza 1 proc. Z wymienionymi wyżej cechami węgla energetycznego powiązana jest ściśle wysokość możliwej do uzyskania ceny. Aktualnie w handlu przyjmuje się, że każde 100 kcal w mialach energetycznych pozwala podwyższyć cenę o 0,65 dolara na jedną tonę. Równocześnie niedotrzymanie umowy co do wartości opałowej powoduje konieczność obniżenia ceny w tej wysokości.

Jeszcze bardziej rygorystyczne wymagania jakościowe stawiane są przed węglem koksowym. Zgodnie z przyjętymi standardami, węgiel ten może zawierać od 7 do 8 proc. popiołu, 8 proc. wilgotności, siarki poniżej 1 proc., części lotnych poniżej 30 proc., fosforu poniżej 1 proc. Bardzo ważnymi cechami tego węgla są te, które określają jego właściwości koksownicze. W handlu międzynarodowym z wymienionych wyżej cech węgla koksowego najczęściej rozlicza się pod względem jakościowym popiół i wilgotność, a czasami także siarkę i części lotne. Jeżeli jakość jest niższa od zagwarantowanej w kontrakcie, eksporter jest zmuszony do upustu ceny. Zwykle za każdy 1 proc. większej wilgotności zmniejsza się cenę o 1 proc. Większa zawartość popiołu i siarki zmusza do jeszcze większych bonifikat. Każdy 1 proc. dodatkowego popiołu powoduje obniżenie ceny o 2 proc., natomiast każdy dodatkowy procent siarki obniża cenę aż do 5 proc. Części lotne rozliczane są w stosunku 0,3—1 proc. obniżki ceny za każdy dodatkowy procent tego składnika.

W ostatnich latach obserwujemy systematyczne pogorszenie się jakości naszego węgla koksowego, jak i koksowego. W 1979 r. „Węglókoks” zapłacił odbiorcom zagranicznym tytułem kar za niedotrzymanie zagwarantowanej w kontrakcie jakości węgla 833 mln zł dew., natomiast za dostarczenie węgla lepszego niż to było przyjęte w kontrakcie uzyskał 23,9 mln zł dew. Per saldo strata z tytułu węgla 809,1 mln zł dew. Na jednej tonie eksportowanego węgla straciłmy więc w 1979 r. 1,44 zł dew. (w 1978 r. — 0,74 zł dew.). Jest to suma na tyle poważna, iż zmusza — niezależnie od faktu, że węgiel jest w dalszym ciągu jednym z najbardziej opłacalnych towarów w eksporcie — do zastanowienia się nad przyczynami złej jakości węgla. Różnica pomiędzy wielkością bonifikat i dopłat nie pokazuje przy tym całości strat, jakie w wyniku złej jakości ponosimy. Licząc się bowiem z niską jakością dostarczanego węgla, „Węglókoks” już na etapie zawierania kontraktów obniża ewentualne parametry jakościowe, a tym samym i cenę.

Jeżeli chodzi o węgiel energetyczny, podstawowym zarzutem jest niska kaloryczność, a także niedotrzy-

manie wymogów dotyczących węgla sortowanego, tj. zawartości popiołu nadziarna oraz kamienia.

W zakresie węgla koksowego największym problemem jest wysoka zawartość składników balastowych, przede wszystkim wilgotności i popiołu. Tak np. w ostatnich dwóch latach żadna z kopalń dostarczających ten węgiel nie dotrzymała standardowych wymagań w zakresie wilgotności. Dopuszczalna zawartość popiołu przekraczana była w 1/4 do 1/3 ilości dostarczanego węgla. Nie najlepiej jest również z właściwościami koksowniczymi. Dotyczy to szczególnie węgla dostarczanego przez kopalnię „Moszczenica”.

„Węglókoks” płaci również za nadmierne odfekodowanie z tytułu zanieczyszczenia węgla ciałami obcymi.

Jak więc wynika z powyższych rozważań, podniesienie jakości eksportowanego węgla może być poważnym źródłem dewiz. Problem jakości węgla nie dotyczy zresztą tylko eksportu. Wiele krajowych urządzeń energetycznych nie osiąga np. posiadanej mocy na skutek złej jakości węgla. Wydaje się więc, iż w obecnej sytuacji zmniejszenie wydobycia i niedobór energii konieczny jest kurs na poprawę jakości węgla.

Jakość a bład ekonomiczny

W chwili obecnej nie funkcjonuje w praktyce żaden system bodźców ekonomicznych, który skłaniałby kopalnie do zainteresowania się jakością węgla wystygłego na eksport. Kopalnie wprawdzie obciążane są placowymi kontraktami z zagranicą, co obniża ich wyniki, ale w sytuacji oceny kopalń przede wszystkim w oparciu o kryteria ilościowe i braku realnego rachunku ekonomicznego nie ma to prawie żadnego wpływu na ich postępowanie. Dowodem na to jest systematyczne obniżanie się procentu węgla poddanego mechanizmowi wzmożeniu, a przecież jest to jedna z najważniejszych metod poprawy jego jakości. W 1979 r. 43,1 proc. wydobycia węgla kamiennego zostało poddane, natomiast w 1978 r. już tylko 39,8 proc. W dodatku dopłaty za lepszą jakość węgla są wyliczane wyliczając do celów ewidencyjnych i tylko w szczególnych przypadkach Centrala Zbytu Węgla selduje je na zasobach kopalń z bonifikatami.

W 1980 r. w celu aktywizacji eksportu węgla i podniesienia jego jakości stworzono specjalny system współzawodniczenia kopalń o tytuł „kopalni — najlepszego eksportera”. Jednak system ten zupełnie nie zdołał egzekwować. W ostatnich latach najlepszym eksporterem węgla koksowego była kopalnia „J-Mała”, a energetycznego kopalnia „Wujek”. W 1979 r. za zwycięstwo w tym współzawodniczeniu obie kopalnie otrzymały tytułem nagrody po 200 tys. zł. Dla przedsiębiorstwa, które operuje w trudnych warunkach, jest to kwota śmiesznie mała i jasne, że nie stanowi ona żadnego bodźca ekonomicznego nakłaniającego do poprawy jakości. W tej sytuacji istnieje więc pilna potrzeba wprowadzenia odpowiedniego systemu bodźców ekonomicznych, który skutecznie oddziaływałby na kopalnie zmuszając je do poprawy jakości eksportowanego węgla. Umożliwiłoby to odróżnienie wielu milionów złotych dewizowych.

JERZY JUROWSKI

KOLEJNA WIZYTA

OBJEZDZENIE ósmej już wystawy producentów i eksporterów z Hongkongu nie upoważnia jeszcze do pisanie w tonie jubileuszowym, niemniej jednak można próbować podsumowania dotychczasowych naszych kontaktów.

Wystawa, była kolejnym przykładem upartego i skutecznego działania promocyjnego, które doprowadziło do wzrostu eksportu z Hongkongu do Polski o 171 proc. w roku 1979 w stosunku do poprzedniego.

Tak efektywny sukces z pewnością godny jest zazdrości, gdyż my sami nie możemy się poszczycić podobną dynamiką ani na tym rynku, ani też na innych.

Tajemnica handlowych sukcesów Hongkongu jest widoczna gołym okiem, a polega na konsekwentnym atakowaniu rynku, niezrażaniu się trudnościami płatniczymi i organizacyjnymi oraz ustawicznemu podnoszeniu jakości produkcji przy niezmiennie konkurencyjnych cenach. Poza tym handlowcy z Hongkongu, w ciągu swej sześciolletniej działalności, rozpoznali już dokładnie nasz rynek, wiedzą jaki asortyment może zakupić „Pewex”, co najbardziej interesuje domy „Centrum” czy „Modę Polską” i jakie przeliczniki dewizowe musi stosować nasza firma han-

dlowa, żeby w ogóle podjąć rozmowy handlowe. Przestali zatem dostarczać i demonstrować wyroby o standardzie powyżej średniego, a wysokich cenach jednostkowych, proponując głównie masówkę, lecz na tyle solidnie wyglądającą, żeby podobała się naszym importerom.

Zauważyłem także, że znajomość naszej sytuacji płatniczej jest wśród naszych kontrahentów powszechna i wychodzą nam naprzeciw propozycje częste transakcje barterowe, dostawy na rynku trzeciego, dostawy z dowolnej branży i szereg innych elastycznych rozwiązań, które z pewnością przyniosłyby znaczne korzyści obu stronom. Niestety, działalność naszych central handlowych niezmierznie rzadko wzbudza uznanie partnerów handlowych. Nie-solidność kupiecka zaczyna się już na etapie nieudzielenia odpowiedzi na korespondencję, niedostarczanie na czas ofert i próbek do testów standardyzacyjnych na określonych rynkach itd.

Lekceważenie małych firm i tęsknota do wielkich kontraktów — z „Wranglerem”, „Sony” czy „Seiko” nie przyniosły jednak, moim zdaniem, dobrych wyników.

Przed wszystkim zawężano poziom cen i to zarówno pewexowskich

jak i złotówkowych. gdyż w większości przypadków płacimy za markę i kupujemy te same wyroby, wyprodukowane przez tych samych producentów z Hongkongu, tyle że za pomocą pośredników ze Szwajcarii czy Lichtensteinu.

Po drugie: poziom jakościowy produktów z HK dorównuje już, a w niektórych przypadkach przewyższa poziom innych, bardziej znanych firm światowych. Obserwując wystawę z Hongkongu od sześciu lat, dostrzegam wyraźnie, że w ciągu tego okresu producenci potrafili samodzielnie opanować produkcję wysokiej klasy magnetofonów stereofonicznych, przenośnych i samochodowych, wszystkich, najbardziej wyszukanych typów zegarków i kalkulatorów elektronicznych i można się spodziewać, że będą już w niedługiej przyszłości producentem minikomputerów.

Produkcję urządzeń mniej skomplikowanych Hongkong zaczyna już przekazywać krajom sąsiednim, stojącym na niższym poziomie technologicznym i gospodarczym, co jest zresztą znaną prawidłowością.

W dziedzinie, w której Hongkong nadal jest bezkonkurencyjny, tzn. w produkcji odzieży, coraz większy odsetek zaczyna ją stanowić kracie i wzorów europejskich, a także coraz większa liczba projektantów euro-

pejskich właśnie tam zaczyna oswajać swe filie, bądź też powierza swe projekty miejscowym firmom oddanym do masowego wykonania.

Na cały ten proces możemy patrzeć z dwu punktów widzenia: jako potencjalni importerzy, bądź też jako rywale na innych rynkach. Wydaje się, że nie doceniamy niebezpieczeństwa, jakie dla naszego eksportu towarów konsumpcyjnych grozi ze strony nie tylko Hongkongu, ale także innych dalekowschodnich krajów. Pod względem jakości w większości dziedzin gorzej nad nami zdecydowanie, są o wiele bardziej elastyczni w terminach dostaw i dostępowaniu się do gustów importerów. Jeśli nie wykorzystamy ich doświadczeń i wzorów działania, to już niedługo na towary Made in Hongkong będziemy patrzeć jak na niedostępny w naszych sklepach luksus i zarazem produkty o poziomie, którego nasza produkcja długo nie będzie mogła dorównać.

W obecnej sytuacji płatniczej, kiedy zakupy dóbr prezentowanych przez Hongkong z pewnością będą ograniczone ze względu na ich nie pierwszy potrzeby charakter, warto by z tej sytuacji wycofano jakieś pozycje. Jeśli nie materiały, to przynajmniej niektóre.

WYKUP

PAWEŁ KAPUŚCIŃSKI

NA temat przyczyn niebawymych trudności z zaopatrzeniem się w niemal wszystkie artykuły spożywcze kraja „na miasto” kilka wersji. Jedną np. głosi, że sklepy są wprawdzie puste, za to magazyny pełne. W rozwinięciu tej plotki bądź to domniemuje się, że chodzi o zgromadzenie specjalnej puli żywności na święta, bądź to przypisuje władzom intencję wręcz umyślnego dezorganizowania rynku w celu zdyktowania procesu odnowy. Jest smutne, że te absurdalne spekulacje zyskują pewien posłuch, a dowodzi to tylko tego, jak wiele zostało jeszcze do zrobienia, żeby przywrócić pełnię zaufania społeczeństwa do władz — przede wszystkim zaś w drodze lepszej informacji. Mówili mi np. dyrektorzy WSS „Społ.” w Poznaniu, że z inicjatywą tamtejszego MKZ „Solidarność” przeprowadzono niedawno kontrolę zapasów żywności w handlu i u producentów. Po zapoznaniu się z sytuacją przedstawiciele NSZZ „Solidarność” wyrazili podobno zdziwienie, że w sklepach spożywczych w ogóle jest coś do kupienia... Odpowiednia informacja ukazała się w miejscowej prasie i plotka o „pełnych magazynach” umarła śmiercią naturalną... Obywatele bardziej wstrząśnięci w demonizowaniu rzeczywistości przypuszczają natomiast, że pogłębienie się deficytu żywności spowodowane zostało przesunięciem części puli przeznaczanej dotychczas dla ośrodków wielokomunalnych na teren prowincjonalny, czyli, że jest to skutek sprawiedliwej dystrybucji towaru. Lecz to także nie odpowiada prawdzie, geografia rozdzielnic

zmieni się może dopiero po wprowadzeniu systemu kartkowego.

Informacji oficjalnych o utrzymaniu dostaw wielu podstawowych, ostatnio bardziej deficytowych towarów, jak mięso, mleko, mąka, masło, na tym samym lub nieznacznie niższym poziomie niż na jesieni ub. roku — nikt już nie chce słuchać...

Jakież więc są prawdziwe przyczyny tego, co się ostatnio dzieje w sklepach spożywczych?

Przyczyny są dwie — głęboki nieurodzaj najważniejszych ziemiopłodów i gwałtowny wzrost zainteresowania zakupami artykułów żywnościowych. Pierwsza nie wymaga długich wyjaśnień. Wiadomo np., że z braku ziemniaków ludzie częściej sięgają po artykuły mączne, więc dostawy produktów zbożowych na ubiegłorocznym poziomie okazują się niewystarczające. Zrozumiałe, że wskutek braku cukru (dla przemysłu — na razie) i syropu ziemniaczanego musiano niemal zaniechać produkcji dżemów (i cukierków), co z kolei w połączeniu z brakiem serów (mniej i gorszej jakości pasze dla bydła) powoduje zwiększony napór na artykuły mięsne, których przedtem brakowało bardzo, a teraz jeszcze bardziej. I t.d.

Drugą przyczynę świadomie określam jako wzrost popytu na żywność, a nie jako wzrost zakupów — jak to się nieraz słyszy, choć jest to oczywisty nonsens. W skali ogólnego kupujemy tyle samo lub nawet nieco mniej — tylko z większym wysiłkiem, przeznaczając na zakupy więcej czasu i tracąc na nie więcej nerwów.

Prawdą natomiast jest, że od wielu tygodni utrzymuje się psychoza strachu przed pustymi lodówkami, nastrój, który prostą drogą prowadzi do jeszcze bardziej pustych półek sklepowych niż wynikałoby to z teoretycznych bilansów. Daleki jestem od twierdzenia, że dezorganizacji rynku winne jest sobie samo społeczeństwo, że chaos wywołany panikarskim lub spekulacyjnym wykupem żywności (marginesowe rozmiary spekulacji i „czarnego rynku” w warunkach ostrego deficytu i nieracjonalnych relacji cenowych dowodzą czegoś wręcz przeciwnego — ogromnego zdyscyplinowania społeczeństwa). Ale nikt, kto był świadkiem tego co się ostatnio dzieje w sklepach w chwilę po przywiezieniu towaru, nie zaprzeczy, że wykup żywności jest faktem. Tak, jest faktem. Choć wcale nie można by czynić z tego wyrzutu społeczeństwu. Działła tu bowiem normalny mechanizm rynkowy, który z jeszcze większą siłą ujawniał się na przykład w USA w czasie pamiętnego kryzysu naftowego, choć Anglosasami rządzić — podobno — łatwiej niż nam. Nawet w najbardziej krytycznej fazie kryzysu, kiedy w prywatnych garażach eksplodowały złe zabezpieczone prowizoryczne zbiorniki z zapasami benzyny, pod stacją z paliwem ustawiali się milowe koleje, dziesiątkami tracili całe swoje oprowadanie i dostojęstwo, dochodziło do rękoczynów, nawet strzelanin, a w tym okresie na rynku brakowało nie więcej niż 6 proc. benzyny w stosunku do ilości, która zapewniała pełne zrównoważenie popytu z podażą. Z rynkiem już tak jest, że mały deficyt powoduje przeważnie skutki nieproporcjonalnie większe...

O tej zasadzie trzeba pamiętać, jeśli się chce zrozumieć, np. dlaczego nie można ostatnio kupić masła, choć listopadowe jego dostawy były za ledwie o 1,3 proc. niższe niż w analogicznym okresie ub. roku. Ale trzeba przy tym pamiętać i o tym, że co roku liczba konsumentów wzra-

sta o ok. 1 proc., że istnieje naturalna skłonność do poprawy żywienia, uwzględnienie wzrostu pieniężnych dochodów ludności (które nie znajdują pokrycia w sferze pozarządowej, jako że i tu możliwości uległy ograniczeniu), wiedzieć o tym, że dostawy smalcu i słoniny są mniejsze o 20 proc. (nieurodzaj ziemniaków — lżejsze tuczniki), a margaryny większe za ledwie o 7 proc., wreszcie — nie zapominać, że bardzo marnie było z masłem już w ub. roku o tej porze...

Między bajki można włożyć opowieści o tym, że handel bądź producenti blokują dostawy żywności na rynek. Częściej dzieje się odwrotnie. Bieżące dostawy np. cukru musiałyby być znacznie niższe, gdyby cała pulę towaru, na którą można liczyć przed przyszłą kampanią, rozłożył równomiernie na wszystkie kwartały (w poprzednich, normalnych pod względem produkcji cukru latach, rynek otrzymywał niecałe 300 tys. t kwartalnie, w tym roku, w IV kwartale — dostanie 350 tys. ton).

Nieco inaczej wygląda tylko sytuacja na rynku mięsny w związku z tendencją do wyprzedzająco trzody (brak ziemniaków). Prawdą jest, że gdyby przemysł mięsny nie przeciwdziałał tym tendencjom (a czyni to niestety, nie zawsze zgrabnie, np. nie odbiera tuczników „dojrzałych”, przetrzymuje żywca w punktach skupu) — moglibyśmy się teraz najeść wieprzowiny do syta — do syta, ale raz. A co położylibyśmy na talerz w przyszłym roku, kiedy skup i tak będzie niższy — jak się ocenia — o 20 proc.?

Reasumując — beznadziejne zapatrzenie w artykuły spożywcze nie ma jakiegos sensacyjnego tła, nie kryją się za tym żadne szatańskie knowasy czy zamysły ani też zmiany polityki handlowej. Po prostu — deficyt żywności przekroczył już tę „masę krytyczną”, która wyzwała lawinową reakcję łańcuchową prowadzącą do rozszarpania rynku...

nego stada świń i krów mlecznych, a w konsekwencji nadzieję na stopniowe zwiększenie hodowli, poczynając od 1982 roku.

Stosunkowo tanim przedsięwzięciem jest też przewidziany już import w 1981 r. ponad 60 tys. ton smalcu, który być może, pozwoli nawet na rezygnację z kartkowego systemu zaopatrzenia w tłuszcz. Konceptja taka jest rozważana. Nawiasem mówiąc, obecny drastyczny brak jakiegokolwiek tłuszczu jest przede wszystkim rezultatem mniejszych o 25 tys. ton w stosunku do planu dostaw smalcu. Dostawy masła są w roku bieżącym o 20 tys. ton wyższe (m. in. import) niż w zeszłym, margaryny o parę proc., a olejów o 15 proc. wyższe. Kiedy jednak zabraknie jednego rodzaju tłuszczu, popyt przerzuci się kolejno na inne, aż nastąpią całkowite rozregulowanie rynku.

Niskie normy przydziału mięsa dla ludności wiejskiej zostały przyjęte przez nią zdecydowanie źle przede wszystkim ze względów prestiżowych, ambicjonalnych, jako nowy przykład dyskryminacji tej grupy społecznej. Dla złagodzenia tych nastrojów Ministerstwo Przemysłu Spożywczego i Skupu podejmując różne działania, sprzyjające rozwojowi hodowli w małych gospodarstwach oraz ułatwiające ubój gospodarzy. M. in. każdy rolnik, który nabędzie dwa prosięta i jedno z nich zakontraktuje, otrzyma z góry przydział 200 kg pasz (zauważmy, że jest to realizacja postulatu zgłoszonego przez naszego autora Karola Wojtaszczyka, rolnika indywidualnego, w nr 48 „Życia Gospodarczego”). Pracować mają pełną parą ubojnie GUS, wykonując m. in. usługi dla indywidualnych rolników, a nawet przechowując im mięso, jako że z powo-

du braku saletry nie można go w gospodarstwie wiejskim zapieklować.

Są to słuszne zamierzenia, coraz mniej możemy mieć bowiem złudzeń, że jakikolwiek system dystrybucji czy reglamentacji mięsa może być dobry, skoro nie ma armat.

Ze względu na pierwszorzędne znaczenie pobudzania hodowli podtrzymywany jest też nadal projekt wolnorynkowej sprzedaży mięsa na bazarach, mimo że w konsultacjach jest on często atakowany.

Jeśli chodzi o ludność miejską, odrzućmy ona już zdecydowanie złe przedsięwzięcie z przydziałem, opartym na przydziale wartościowym, opartym na przydziale ilościowym-asortymentowym. Życzenie to będzie spełnione — kartka ma określać, ile jakiego mięsa i wędlin można zakupić w ramach przysługującej ilości. Niestety, nie można wyeliminować z tego drobiu, jako że wtedy normy ilościowe musiałyby być znacznie niższe.

Podział przydziałów na określone asortymenty jest zobowiązaniem przemysłu mięsnego do dostarczania mięsa i jego przetworów w określonej strukturze gatunkowej i powinien mu to ułatwić.

Większość konsultowanych uważa za sprawiedliwe, aby osoby jadające obiady w stołówkach oddawały część swoich przydziałów i opinia ta zostanie prawdopodobnie uwzględniona. Zasada ta nie będzie natomiast dotyczyć dzieci i młodzieży, stołujących się w przedszkolach, czy szkołach. Uwzględnione zostaną wszystkie postulaty zgłaszane przez Instytut Matki i Dziecka oraz Instytut Żywności i Żywienia, dotyczące norm przydziału dla dzieci, młodzieży, kobiet w ciąży i matek karmiących.

Z.D.

z krajów socjalistycznych

ZADŁUŻENIE KRAJÓW RWPG

Zagraniczne zadłużenie krajów RWPG (u wierzyteli poza obszarem RWPG) wyniosło na koniec ub. roku 74,5 mld dol. W ciągu tegoż roku nastąpiło zmniejszenie zadłużenia w ZSRR (1 mld), ale zwiększenie w innych krajach RWPG — łącznie o 6 mld dol. Rok bieżący przynosił dalszy wzrost zadłużenia, które na koniec grudnia przyszczałaśnie przekroczy 80 mld dol.

ZSRR — SITUACJA W HODOWLI

W ZSRR w minionych 10 miesiącach br. produkcja żywca (wraz z drobiem) przeznaczona na ubój wyniosła 97 proc. produkcji uzyskanej w analogicznym okresie ub. r., w tym produkcja żywca rogatego była o 4 proc. niższa od ubiegłorocznej, trzody chlewnej — o 5 proc. niższa, owiec i kóz — o 3 proc. niższa. Jedynie w przypadku produkcji drobiarskiej nastąpił wzrost o 7 proc. W porównaniu z ub. rokiem nastąpił spadek produkcji mleka o 3 proc., natomiast produkcja jaj była o 5 proc. wyższa.

ROZBUDOWA PORTU W ROSTOCKU

Około 80 proc. ładunków handlu zagranicznego NRD, transportowanych drogą morską, przechodzi przez Rostock. Obsługuje on 18 regularnych połączeń żegludowych, jest również ważnym ośrodkiem tranzytowym — przede wszystkim dla ładunków z centralnej i wschodniej Europy. Port wyposażony jest w nowoczesne urządzenia przeładunkowe, posiada też specjalistyczne terminale. Zwiększający się napływ towarów masowych zdecydował o budowie nowych terminali, które będą oddane do eksploatacji w 1982 roku. Modernizować będzie się także urządzenia już eksploatowane, zwłaszcza do obsługi statków ro-ro, rozbudowy będzie terminal naftowy i chemiczny. Coraz większą rolę w przeładunkach portu w Rostocku odgrywać kontenery. Aby skrócić czas poszczególnych operacji — zainstalowano nowoczesne urządzenia elektroniczne.

JUGOSŁOWIANIE ŻUŻYWAJĄ MNIJE BENZYNY

W tym roku zużycie benzyny w Jugosławii zmniejszyło się, choć liczba pojazdów mechanicznych w porównaniu z 1979 r. wzrosła. W ciągu pierwszych 9 miesięcy br. zużyto 1665 tys. ton benzyny, tj. o 11 proc. mniej niż w analogicznym okresie ub. roku. Niemniej jednak rząd — uwzględniając obecną sytuację na światowym rynku naftowym i ograniczone możliwości przywrócenia

równowagi bilansu płatniczego — opowiadał się za dalszym zwiększeniem oszczędności paliw. Rząd zapropował Zgromadzeniu SFRJ utrzymanie w mocy przepisów zakazujących używania samochodów prywatnych 72 dni w roku. Do oszczędności przyczyniają się też wysokie ceny: litr 98-oktawowej benzyny kosztuje 21 dinarów (0,75 dol.), a 88-oktawowej — 19 dinarów.

RUMUŃSKIE TRAKTORY

Rumuński przemysł traktorowy wytwarza 39 typów traktorów. Produkcja tej branży zwiększyła się z 15 tys. sztuk w 1965 roku do prawie 60 tys. w 1979 r. Rumuńskie traktory eksportowane są do 80 krajów świata, m.in. do NRD, Jugosławii, Egiptu, Austrii, Turcji, Włoch, Kanady. Dochodzą do tego jeszcze dostawy części do montowni organizowanych za granicą i budowa kompletnych zakładów produkcyjnych, np. w Tabrizie w Iranie, w Saskatoon i Sherbroku w Kanadzie, w Taboro w USA, w Helwan w Egipcie, w Decra w Ghanie i w Hajderabadzie w Indiach. Rumuński przemysł traktorowy eksportuje ogółem 65 proc. swej produkcji.

15 LAT „NOWOEXPORTU”

W ciągu 15 lat działalności radziecka centrala handlu zagranicznego „Nowoexport” nawiązała kontakty z 400 firmami z 45 krajów. W ofercie centrali znajdują się towary powszechnego użytku, dla hobbistów (m.in. dla wędkarzy), akcesoria turystyczne oraz wyroby rzemiosła ludowego, szkło artystyczne itp. Wśród odbiorców radzieckiego „Nowoexportu” znajdują się klienci ze Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii, Francji, RFN, Japonii. W krajach socjalistycznych towary te sprzedawane są przede wszystkim w sklepach narodowych, jak „Natasza” w Berlinie i „Warszawie”, „Ural” i „Czajka” w Czechosłowacji.

KUBAŃSKA TURYSTYKA

Na Kubie realizowany jest szeroki program rozbudowy bazy turystycznej. Obecnie w budowie znajduje się 11 hoteli o wysokim standardzie. Położone są one w najbardziej atrakcyjnych miejscach, nad morskimi plażami, jeziorami, w górskich lasach. Równocześnie trwa rekonstrukcja starych obiektów hotelowych. Kubański Instytut Turystyki organizuje specjalne wycieczki po kraju. Ich uczestnicy mają możliwość nie tylko wypoczynku, ale także zapoznania się z ciekawymi obiektami Kuby. Doskonałe warunki klimatyczne i dobra baza turystyczna przyciągają na Kubę coraz więcej gości z zagranicy. Zwiększa się także liczba turystów krajowych korzystających z usług biur podróży.

CENTRALA ZBYTU SPRZĘTU I MATERIAŁÓW TECHNOLOGICZNYCH

„TECHMAZBYT”

ul. Nowogrodzka 50, 00-695 Warszawa

oferuje do natychmiastowej sprzedaży
oraz przyjmuje zamówienia na

ROBOTY PRZEMYSŁOWE typ RIMP-401

na rok 1981 oraz lata 1982-83.

Robot jest automatycznym manipulatorem zmiennoprogramowym, przeznaczonym do zastępowania obsługi ludzkiej w czynnościach:

● przenoszenia, podawania i zdejmowania.

Jego właściwości manipulacyjne umożliwiają zastosowanie do obsługi:

- pras do wycinania, gięcia i tłoczenia
 - pras formujących wyroby z tworzyw sztucznych
 - obrabiarek skrawających
 - linii, gniazd technologicznych i pojedynczych stanowisk
 - maszyn do odlewania ciśnieniowego i wtryskowego
 - urządzeń do hartowania indukcyjnego
 - młotów kuziennych
 - urządzeń transportu międzyoperacyjnego
 - środków agresywnych, o podwyższonej temperaturze i wibracji.
- Roboty radykalnie poprawiają warunki pracy eliminując zagrożenie wypadkowe i choroby zawodowe. Roboty rewelacyjnie usprawniają proces produkcyjny zapewniając:
- powtarzalność wykonywanych czynności
 - rytmiczną, wydajną pracę o stałej jakości
 - łatwą i szybką zmianę programu produkcyjnego.

SKRÓCONA CHARAKTERYSTYKA TECHNICZNA ROBOTA RIMP-401

1. Liczba stopni swobody
2. Udźwig przy max wysuwie ramienia:
a) przy stosowaniu jednego ramienia 4 kg
b) przy stosowaniu dwóch ramion 2x1,5 kg
3. Max zasięg pracy 1350 mm
4. Zasilanie
a) pneumatyczne — ciśnienie robocze 0,5 MPa ± 10%
b) elektryczne — napięcie, częstotliwość 220 V ± 10% 50 Hz
5. Robot można instalować bezpośrednio na stopie lub podstawie. Zakup robotów można finansować z funduszu postępu technicznego. Producent zapewnia stałą obsługę serwisową.

Zamówienia przyjmuje i informację udziela C2S i MT „TECHMAZBYT”, Warszawa ul. Nowogrodzka 50 tel. beczp. 214397, centrala 268111 wew. 405, 425, 528, telex 016136

A.N.-J.

KARTKI - PO PIERWSZYCH KONSULTACJACH

NIE pomylił się, pisząc w poprzednim numerze, iż przedstawił do społecznej konsultacji projekt sprzedaży mięsa i tłuszczów na kartki wywoła wiele kontrowersji i wymagać będzie długiego uzgadniania, dłuższego niż pierwotnie przewidywano.

Jak donosiła już codzienna prasa, na konferencji prasowej u rzeźnika rządu ministrowie — handlu wewnętrznego i usług, Adam Kowalik oraz przemysłu spożywczego i skupu, Jan Zaleski poinformowali dziennikarzy o pierwszych wynikach konsultacji oraz podjętych z nimi rozmowach, jakie już zamierza się uwzględnić w proponowanym systemie reglamentacji.

Powszechne niezadowolenie wywołują przede wszystkim niskie normy przydziałów. Poddawany jest w wątpliwość z tym w wątpliwość przedstawiony bilans mięsa i powszechnie wysuwa się żądanie likwidacji eksportu tego artykułu. Wynika to prawdopodobnie z przecenienia roli tego eksportu, z przeświadczenia, iż to on ogala nasz rynek wewnętrzny z mięsa.

Minister Jan Zaleski raz jeszcze przedstawił dane dotyczące wywozu mięsa. W roku bieżącym wyniósł on nieco ponad 200 tys. ton. Ponieważ eksportujemy częściowo wysokie gatunki wędlin (np. szynki w puszkach), ilość masy mięsnej zużywanej na eksport można oszacować na 250 tys. ton. W roku przyszłym wywóz ma się zmniejszyć do 150 tys. ton; w masie mięsnej będzie to ok. 200 tys. ton. Jest to więc znaczny ubytek, nie taki jednak, którego likwidacja dałaby się wyraźnie odczuć dodatkowo w naszych sklepach. Jednocześnie trzeba pamiętać, iż saldo obrotów żywnością w handlu zagranicznym mamy już od dawna głęboko ujemne wskutek rosnącego stale importu zbóż, a inne działy gospodarki też mają raczej duże potrzeby importowe, a malejące możliwości eksportowe. (Jest o tym mowa w zamieszczonej na str. 1 i 8-9 dyskusji o naszym zadłużeniu).

Minister Zaleski obstawał przy twierdzeniu, że z wszelkich operacji możliwych do wykonania w handlu zagranicznym najkorzystniejszy jest import zbóż, daje on bowiem największe szanse utrzymania matecz-

„...Okręgowy Oddział Państwowej Komisji Cen dokonał wstępnego rozważania, a następnie w listopadzie przeprowadził kontrolę rzetelności kalkulowania i prawidłowości ustalania cen. Kontrola w Zjednoczeniu Koncentratów Spożywczych w Poznaniu potwierdziła nierentowność i zaniechanie produkcji soli czosnkowej na skutek wzrostu cen czosnku oraz zawyżenia ustalonej w zakresie własnym ceny przypisywanej czosnkowej mimo pewnego wzbogacenia receptury w stosunku do soli czosnkowej. W wyniku kontroli załączono dyrektorowi Zjednoczenia:

Rozważenie możliwości wznowienia w produkcji „przypraw czosnkowej”, której cena odpowiada faktycznym kosztom produkcji. Skład surowcowy tej przyprawy analogiczny mniej środków deicyzycznych aniżeli wycofana z produkcji „sól czosnkowa”. Zwracamy uwagę — czego nie podano w opublikowanej notatce — że cena soli czosnkowej 2,50 zł odnosi się do opakowania 50 g, natomiast cena 11 zł dotyczy opakowania 90 g. Ponadto wyjaśniamy, że cena suszu czosnku jako składnika omyślnych wyrobów, wzrosła o około 70 proc., a jego udział procentowy w przyprawie czosnkowej jest wielokrotny.”

Z datą 21 listopada br. otrzymaliśmy list od Adama Dudziaka, zastępcy dyrektora Oddziału PKC w Poznaniu:

Zjednoczenia. Wyciągnięcie sankcji służbowych w stosunku do osób winnych stwierdzonej naruszeń obowiązujących zasad kalkulowania i ustalania cen.

Okręgowy Oddział zaznacza, że ustalił trzydziestodniowy termin wykonania niniejszych założeń. Protokół z kontroli został bez zastrzeżeń przyjęty przez Zjednoczenie.”

Jak wynika z konfrontacji, jednak cena była zawyżona, jednak nabywcy przepłacili milion złotych. Zaś producent przyznał się do podman i zawyżania cen dopiero wtedy, gdy złapie się ich za rękę.

NIK O USŁUGACH

Kilka tygodni temu na posiedzeniu sejmowej Komisji Handlu Wewnętrznego, Drobnej Wytwórczości i Usług głos zabral przedstawiciel NIK, dyr. Stanisław Pawłowski. Oto fragment wypowiedzi:

„Wyniki kontroli NIK dowodzą, że realizacja rządowego programu rozwoju usług na lata 1977-1980 nie napawa optymizmem, pomimo że liczby i wskaźniki prezentowane przez resort handlu oraz GUS wskazują na stały wzrost wartości usług. Jednakże za tym nie idzie odpowiednio większa łatwość zaspokojenia zapotrzebowania ludności na usługi, bowiem na wzrost ten odpowiednio wpływają wzrastają-

W wielu ogniwach naszej gospodarki nie dzieje się najlepiej. Głębokie dysproporcje i zwichnięty balans „przekrywane” od dłuższego czasu „formalną” grą wskaźników i dopasowaną do niej sprawozdawczością ujawniły się z całą siłą. W tych warunkach oczekuje się, z jednej strony, na zdecydowane działania władz administracyjnych, które rozwiążą najbardziej zmatowione sprawy — z drugiej zaś na rozwój inicjatyw oddolnej, opartej na szerokiej i autentycznej formie samorządowych. Oczekiwania te są pełne nadziei, ale i niepokojów. Niepokój ten ma kilka źródeł. Po pierwsze — nie wszyscy wierzą, by aparat administracyjny był zdolny sprostać obecnym, ogromnym obowiązkom, które trzeba realizować w innych niż dotychczas warunkach społecznych. Pewne posunięcia ten niepokój wzmagają — np. nieprzemysłany do końca projekt wprowadzenia wolnych sobót w roku przyszłym, projekt krytykowany na różnych zebraniach uprzednio, a mimo to w nie zmienionej formie poddany pod publiczną dyskusję.

Równie wiele niepokojów związane jest z działaniem samorządu. Po prostu odzwyczailiśmy się od działania autentycznych form samorządowych i nie bardzo wiemy, jak je odróżcić i czego od nich oczekiwać. Dotyczy to przede wszystkim sfery gospodarki, a więc przedsiębiorstw produkcyjnych i usługowych oraz samorządu wiejskiego.

Samorząd pracowniczy w przedsiębiorstwach oczekuje na ustawę, która określi jego kompetencje oraz na wyniki reformy całego systemu zarządzania. Życie jednak czekać nie chce — tam więc, gdzie załoga i dyrekcja czują, że już od dziś niezbędne są nowe formy kierowania zakładem — rodzą się rozmaite formy samorządu. Często jest to powrót do nieubliżanych w ostatnich latach rad robotniczych, które przybierają rozmaite nazwy. Ten ruch będzie przybierał na sile, w miarę jak rosnąć będzie samodzielność przedsiębiorstw. A rosnąć ona będzie — w sposób formalny lub nieformalny — niewątpliwie.

Nieco inna sytuacja jest na wsi. I tam powstają rozmaite formy zrzeszeń, organizacji itp. Wydaje się jednak, że ani Ministerstwo Rolnictwa, ani władze terenowe nie bardzo wiedzą, co z tym fantem zrobić. Najlepiej byłoby cały ten ruch włączyć w istniejące formalne organizacje samorządowe — od zebrania wiejskiego poczynając przez kółka rolnicze i gminne rady narodowe aż do nowego kształtu i nowej formy władzy, tzn. naczelnika gminy. Propozycje zmian w tym zakresie zgłosił w ostatnim „Prawie i Życiu” Adam Piekara. Propozycja jest interesująca, dotyczy jednak przede wszystkim sposobu powoływania władz — od sółtyśa do naczelnika gminy. Wydaje się jednak, że ma ona dwie słabe strony. Najbardziej demokratyczny wybór władz lokalnych nie stworzy autentycznego samorządu, gdy zakres kompetencji tych władz będzie ograniczony, bądź formalnie, bądź faktycznie (np. przez brak środków materialnych do działania). Jest to jednak słabość stosunkowo łatwiejsza do usunięcia, choćby przez odpowiednie zmiany w zasadach tworzenia i dysponowania budżetami terenowymi. Groźniejsza jest druga słabość — aby samorząd był autentyczny, musi powstać w wyniku odczuwanej przez daną społeczność potrzeby i mieć przez nią akceptowaną formę. Tymczasem dotychczasowe formy dość mocno się w opinii wiejskiej skompromitowały — i tak np. samorząd produkcyjny na wsi mocno odżegnuje się od jego naturalnej niejako, ale w przeszłości pozbawionej rzeczywistej samorządności formy, jaką są kółka rolnicze. Niewiele lepiej jest ze spółdzielczością wiejską, stąd też trzeba się zgodzić z wnioskiem autora, że należy pozostawiać duży zakres swobody w tworzeniu się nowych form samorządowych na wsi. Nie tyle ważne są nazwy, co fakt, że znajdują się grupy pragnące autentycznie działać, zgodnie z wolą i interesami określonej społeczności, a nie pod dyktando administracji.

Nie ma chyba lnu wyjęcia — samorząd na wsi jest potrzebny nie mniej niż w zakładach przemysłowych, a włączanie go w określone odgórnie nie ma w obecnej sytuacji żadnych szans powodzenia.

S. C.

żywocik gospodarczy

● W woj. walszyskim kilku rolników zakopowało wspólnie ziemniaki. Było ich kilka ton i tę nielawą do przewiezienia ilość nieznana sprawcy skradli. Poszkodowani znaleźli w kopcu słoiki. Był on pełen pieniędzy. Złodzieje zapłacili bardzo wysoką cenę za kwintal. Stosunki pieniężno-towarowe w ogóle przebiegać zaczynają jakby pod przymusem. We Włodawie punkt skupu surowców wtórnych ogłasza, że skupuje szmaty już nie tylko za pieniądze, ale za bawełnę, wełnę i inne surowce płaci rajtuzami, rajstami, bielizną bawełnianą itp. rarytasami. Widocznie za forszę nikt już nie odda nawet szmaty.

● W województwie szczecińskim pojawiła się nowość spożywcza pod nazwą „laja fermowa do picia”. Na

ogół jej nie uważa się na napój, chyba że po wymieszaniu ze spirytusem. Ta dziwna nazwa służy wyodrębnieniu jej świeżych z ogółu jaj śmiejących jakie są w sprzedaży.

● Na cmentarzu w Opolu ustawa się obecnie 70 słupów oświetleniowych. Koszt każdego z nich — 30 tys. złotych. Cel tej znacznej inwestycji jest dosyć tajemniczy. Nieboszczkom wystarcza światłość wiekusta. Jarzeniówkę zmacną nastrojów cmentarza. Jeśli chodzi tu o to, by strachliwi przestali się bać chodząc o północy na cmentarz, to lepiej oświetlić centrum miasta, żeby strachliwi nie bali się chodzić w śródmieściu. Znaczna część lamp ulicznych, jakie w Polsce istnieją, nie pał się ze względu na oszczędności energetyczne. Zupełnie to jakoś nie

przeszkadza w instalowaniu nowych, które też nie będą się palić. Bilans energetyczny sobie, a plany inwestycyjne sobie. Według planów nieboszczek winien móc nawlec igłę w środku nocy. We Wrocławiu biblioteka naukowa Ossolineum pracuje do 17.30 zamiast jak dotąd do godz. 20, a to dla oszczędności światła.

● Na wysypisku śmieci w Tarnowie znalazło się 3 tys. słoików z bulgarską sałatką z papryki, gdyż Sanepid uznał ją za niejadłą, ponieważ fermentuje i zakazał jej przechowywania, ponieważ słoiki wybuchają. Staramia WSS, żeby ją oddać na karmę dla zwierząt spełżyła na niczym, gdyż służba weterynaryjna starała się ochronić zwierzęta przed sałatką. Obecnie dyrektor chlewni w Ładnej chce zaryzykować

jedną świnię i sprawdzić, czy ona przeżyje zjedzenie takiej przystawki.

● „Dziennik Polski” podaje, jak wysokie są ceny pokątnie sprzedawanego mięsa, ale nie ogranicza się do białej, jak inne gazety, tylko aktywnie używa propagandowych środków mogących spowodować spadek popytu, a więc i cen. Do szpitala — pisze gazeta — przywieźli tego samego, czyli obecnego roku uchwaliła uchylene zakazu i wymaganie swojej wiosennej uchwali. Uchwala przeciw własnej uchwale także zapada jednomyslnie. Poglądy rady są zmienne, opinie ekspertów i zapewnienia administracji także — chronimy więc jednak jednomyslnie głosowanie, bo to jedyny przejaw stałości w funkcjonowaniu naszej demokracji.

● Po wysłuchaniu opinii władz wojewódzkich i miasta Wrocławia,

że palenie liści i gałęzi w ogródkach jest szkodliwe, a miasto będzie te śmieci wywozić, Rada Narodowa na sesji 4 kwietnia jednomyslnie uchwaliła zakaz palenia czegokolwiek na świeżym powietrzu. Po wysłuchaniu opinii władz miasta, że palenie liści, gałęzi i innych śmieci na ogniskach szkodliwych nie jest, a miasto nie ma możliwości wywożenia odpadków, ta sama rada 22 października tego samego, czyli obecnego roku uchwaliła uchylene zakazu i wymaganie swojej wiosennej uchwali. Uchwala przeciw własnej uchwale także zapada jednomyslnie. Poglądy rady są zmienne, opinie ekspertów i zapewnienia administracji także — chronimy więc jednak jednomyslnie głosowanie, bo to jedyny przejaw stałości w funkcjonowaniu naszej demokracji.

nowości wydawnicze

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO EKONOMICZNE

„EKONOMICZNE PROBLEMY STEROWANIA JAKOŚCIĄ”, s. 326, 21 zł.

Przedstawiono zagadnienia ekonomiczne związane ze sterowaniem jakością w gospodarce socjalistycznej. Zanalizowano rolę planowania w kształtowaniu jakości, zasady sterowania jakością środków konsumpcji i środków produkcji. Na tym tle omówiono ekonomiczne narzędzia sterowania jakością oraz psychologiczne aspekty jakości.

MIKOŁAJ LATUCH — „DEMOGRAFIA SPOŁECZNO-EKONOMICZNA”, s. 400, 21 zł.

Książka poświęcona jest nowo tworzącej się dyscyplinie, jaką jest demografia społeczno-ekonomiczna. Autor omawia podstawowe problemy tej gałęzi wiedzy oraz system informacji statystycznej w zakresie zjawisk ludnościowych. Zapoznaje ze źródłami danych o procesach rozwoju demograficznego i społeczno-ekonomicznego społeczeństwa.

WINCENTY KAMIŃSKI — „WSPÓŁCZESNA TEORIA DOBROBYTU”, s. 206, 21 zł.

Krytyka burżuazyjnej Ideologii Rewolucjonizmu

W pracy przedstawiono rozwój, dorobek teoretyczny, braki i niekonsekwencje teorii dobrobytu, która powstała w ramach ekonomii burżuazyjnej XX w., zanalizowano okres 1945-1975. Szczegółowo omówiono teorię efektów zewnętrznych, normatywną teorię wyboru społecznego oraz podstawy teorii socjalistycznej.

W końcowej części swego listu p. Wiećek porusza kwestię sprzedaży samochodów używanych. Oto co pisze na ten temat:

„Wydaje mi się, że nadszedł czas, aby wprowadzić wreszcie w naszym kraju racjonalną sprzedaż używanych samochodów. Mam na myśli sprzedaż przez przedsiębiorstwo państwowe (a może spółdzielnię?). Jest teraz ku temu sprzyjająca sytuacja. Zatrzymano niektóre inwestycje. Często są tam odpowiednie hale, gdzie przy niewielkich stosunkowo nakładach można by dokonywać przeglądów i napraw używanych, przeznaczonych do sprzedaży samochodów. Najpierw mogłoby to dotyczyć samochodów produkcji krajowej, a w przyszłości może dążyć się poddać także tym zabiegom samochody importowane przez „Polmozybi” — Skody, Wartburgi, Łady itp. Nabywca miałby wtedy większą pewność, że kupując taki samochód nie będzie potencjalnym sprawcą wypadku. Takie rozwiązanie dążyłoby nowe miejsca pracy, a prowadzenie stałej kontroli cen przez niezależnych — od przedsiębiorstwa sprze-

dającego używane samochody — ekspertów zapobiegłoby nadużyciom (niestety, trzeba i to brać pod uwagę).

Myślę więc, że wprowadzenie w życie takiej formy sprzedaży używanych samochodów zapewniłoby możliwość ich nabycia tym, których nie będzie stać na pojazd nowy.

Na warszawskiej giełdzie mróz w sposób wydatny ograniczył handel. W staraniach zamarzniętych sprzedawców i klientów więcej było rutyny niż przekonania. Notowano (ceny wywoławcze):

FIAT 126p z 1980 roku — 170 tys. zł, z 1978 roku — 132 do 138 tys. zł, z 1977 roku — 114, 112 ale i 105 tys. zł;

FIAT 125p z 1980 roku — 334 tys. zł; z 1978 roku — 255 tys. zł; z 1977 roku — 220 tys. zł; z 1975 roku — 169 tys. zł;

ŁADA 1500 S z 1979 roku — po 32 tys. km — 350 tys. zł;

POLONEZ 1500 z 1980 roku, po 8 tys. km — 365 tys. zł;

ZASTAWA 1100 P z 1978 roku, po 42 tys. km — 220 tys. zł;

SKODA S-100 z 1976 roku — 170 tys. zł;

WARTBURG 353 z 1975 roku — 170 tys. zł;

FIAT 132 (1600) z 1975 roku — 260 tys. zł;

SYRENA 105 z 1975 roku — 62 tys. zł;

VOLKSWAGEN Golf z 1978 roku — 550 tys. zł;

FORD-TAUNUS z 1978 roku — 520 tys. zł;

BMW 2200 z 1972 roku — 235 tys. zł.

(jod)

Jaguar MK VIII z 1958 roku

giełda samochodowa

Dziękuję Czytelnikom, którzy nadesłali uwagi na temat zasad sprzedaży samochodów. Pierwsze wypowiedzi drukujemy na str. 4. Tu chciałbym zaawizować list p. Jana Wiećka z Łodzi, w którym stawia tezę, że jedynym możliwym do zrealizowania w praktyce sposobem sprzedaży samochodów jest wprowadzenie cen równowagi. Stanowisko swoje p. Wiećek szeroko uzasadnia. Tekst przekracza ramy tej rubryki, opublikujemy go więc w kolejnym numerze pisma.

W końcowej części swego listu p. Wiećek porusza kwestię sprzedaży samochodów używanych. Oto co pisze na ten temat:

„Wydaje mi się, że nadszedł czas, aby wprowadzić wreszcie w naszym kraju racjonalną sprzedaż używanych samochodów. Mam na myśli sprzedaż przez przedsiębiorstwo państwowe (a może spółdzielnię?). Jest teraz ku temu sprzyjająca sytuacja. Zatrzymano niektóre inwestycje. Często są tam odpowiednie hale, gdzie przy niewielkich stosunkowo nakładach można by dokonywać przeglądów i napraw używanych, przeznaczonych do sprzedaży samochodów. Najpierw mogłoby to dotyczyć samochodów produkcji krajowej, a w przyszłości może dążyć się poddać także tym zabiegom samochody importowane przez „Polmozybi” — Skody, Wartburgi, Łady itp. Nabywca miałby wtedy większą pewność, że kupując taki samochód nie będzie potencjalnym sprawcą wypadku. Takie rozwiązanie dążyłoby nowe miejsca pracy, a prowadzenie stałej kontroli cen przez niezależnych — od przedsiębiorstwa sprze-

dającego używane samochody — ekspertów zapobiegłoby nadużyciom (niestety, trzeba i to brać pod uwagę).

Myślę więc, że wprowadzenie w życie takiej formy sprzedaży używanych samochodów zapewniłoby możliwość ich nabycia tym, których nie będzie stać na pojazd nowy.

Na warszawskiej giełdzie mróz w sposób wydatny ograniczył handel. W staraniach zamarzniętych sprzedawców i klientów więcej było rutyny niż przekonania. Notowano (ceny wywoławcze):

FIAT 126p z 1980 roku — 170 tys. zł, z 1978 roku — 132 do 138 tys. zł, z 1977 roku — 114, 112 ale i 105 tys. zł;

FIAT 125p z 1980 roku — 334 tys. zł; z 1978 roku — 255 tys. zł; z 1977 roku — 220 tys. zł; z 1975 roku — 169 tys. zł;

ŁADA 1500 S z 1979 roku — po 32 tys. km — 350 tys. zł;

POLONEZ 1500 z 1980 roku, po 8 tys. km — 365 tys. zł;

ZASTAWA 1100 P z 1978 roku, po 42 tys. km — 220 tys. zł;

SKODA S-100 z 1976 roku — 170 tys. zł;

WARTBURG 353 z 1975 roku — 170 tys. zł;

FIAT 132 (1600) z 1975 roku — 260 tys. zł;

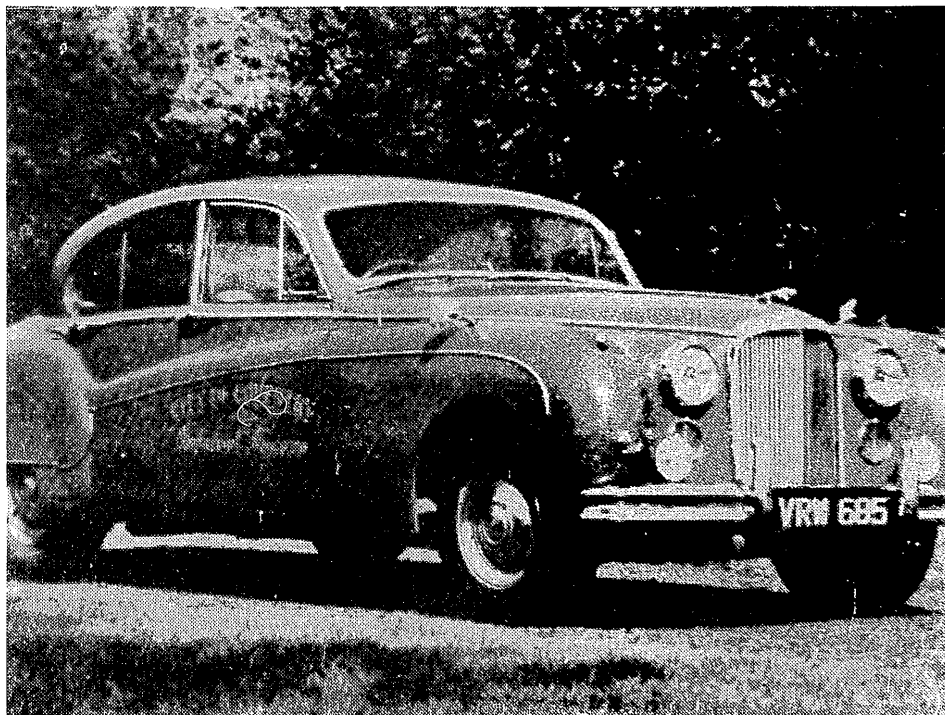
SYRENA 105 z 1975 roku — 62 tys. zł;

VOLKSWAGEN Golf z 1978 roku — 550 tys. zł;

FORD-TAUNUS z 1978 roku — 520 tys. zł;

BMW 2200 z 1972 roku — 235 tys. zł.

(jod)



(jod)

Jaguar MK VIII z 1958 roku

REDAGUJE ZESPÓŁ: Stefan Ancerowicz, Jacek Boldak, Stanisław Chelstowski (I zastępca redaktora nacz.), Andrzej Chmielewski, Zofia Długosz, Władysław Dudziński, Jerzy Dzięciołowski (zastępca redaktora nacz.), Lech Froelich, Maria Gawronska (redaktor techniczny), Jan Głowczyński (redaktor naczelnik), Teresa Górnicka, Aleksander Jędrzejczak, Paweł Kapuściński, Krzysztof Kraus, Anna Kuszo, Andrzej Lubowski, Marcin Makowski, Eugeniusz Możajko, Andrzej Nalecz-Jawcki, Grzegorz Pierski, Andrzej Piwoński (red. graficzny), Zdzisław Regel, Marian Sikora, Karol Szwarc (zastępca redaktora nacz.), Elżbieta Tadeusik (zastępca sekretarza redakcji), Stefan Zubowski (fotoreporter).

ADRES REDAKCJI: 00-681 Warszawa, ul. Hoża 35 (skrytka pocztowa nr 7 — 00-950 Warszawa). Telefon: redaktor naczelny i sekretariat 28-06-28, zastępca redaktora naczelnego 21-35-57, sekretarz redakcji 28-65-92, redaktorzy 28-63-42, 28-38-24. Nie zamówionych artykułów redakcja nie zwraca, a w razie opublikowania zastrzega sobie prawo ich skracania.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Wydawnictwo Współczesne, 00-490 Warszawa, ul. Wilejska 12, telefon 28-24-11.

OGŁOSZENIA PRZYJMUJE: Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Wydawnictwo Współczesne, 00-490 Warszawa, ul. Wilejska 12, telefon 28-24-11 oraz wszystkie Biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” w miastach wojewódzkich. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WARUNKI PRENUMERATY: Prenumerata na kraj przyjmuje Oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: od 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego oraz cały rok następnego, do 10 marca na II kwartał roku bieżącego, do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego, do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalnie — 78 zł, półrocznie — 156, rocznie — 312 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych. Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-558 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV Oddział Warszawa, Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę, jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla instytucji i zakładów pracy. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych na uprzednie zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch” 00-558 Warszawa, ul. Towarowa 28.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” — 00-624 Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Numer indeksu 39506.

Zam. 3151. O-68

